



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kanterach pism peryodycznych, po cenie:
rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartal. rsr. 1 kop. 40
miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycja główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedmieście Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartal. flor. 3, na prowincji z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincji
z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.
W. W. Ks. Południowym: u M. Leitgebnera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

BAWIĄCA PANNA.

Wiemy wszyscy kogo wyrażenie to określa i co znaczy; wiemy że mimo zwodnego brzmienia nie daje nam żadnego wyobrażenia zabawy. Gdy kto powie: „bawiąca panna“ czy nawet, jak wyrażają się niektórzy: „bawiąca się panna“ wiemy że osoba ta ani dla nikogo nie jest zabawy przyczyną, ani jej sama bynajmniej nie używa i miano *bawiącej* jest tu postawione z tego jedynie względu, aby wyłączyć wyobrażenie pracy. Czy to jest zatem tytuł honorowy, czy nazwa upokarzająca? Zależy to od pojęć, od poglądów naszych na życie, jego sprawy i obowiązki, trzeba tylko wnosić, że osoby które na nią przystają i nosząc ją nie zmieniają na inną, muszą być w zgodzie pewnej z tem, co chce wyrazić: zamierzają zostać wolne od wszelkiego obowiązku pracy oznaczanej. Czy zatem nie pracują zgoła, czy jest to jakiś chroniczny stan leniwego próżnowania, w którym trwać pragną? Najczęściej i tak nie jest: bawiąca się panna bywa zwykle panną bardzo mozolnie, a nawet bardzo ciężko pracującą i ma tej pracy swojej wszystkie dociegiwości i znoje: trud i pot gorący, niema tylko jej pocięć i rozkoszy: niema dumy, jaką pożyteczna praca ludziom daje, niema żywego zajęcia jakie w trwaniu swem taka praca wyrabia, niema zamięłowania, które budzi.

Dziesięć tak z tej przyczyny, że dla bawiącej panny żadna praca nie jest obowiązkiem stałym, któryby ją określał i w granice jakiegoś ujął, jakimś dziełem wyłącznym oznaczał, dając zatem: najpierw ujęcie naturalnemu i dobremu uczuciu ambicji, potem pojęcie wyraźne, gdzie się nasza powinność kończy, a prawo zaczyna, jaki jest pracy naszej zarobek i kiedy po trudzie może przyjść wytchnienie? A przecież podobne uwarunkowanie pracy wszelkiej jest rzeczą tak niezbędną w potrzebie swojej, że wtedy nawet gdy pracujemy sami dla siebie i z popędu tylko woli wła-

snej, jeszcze zaniedbać go nie należy, bo będziemy pracować nieporządnie, nieprawidłowo, podług zachceń chwili, to jest źle, bez poddania pracy naszej pod kontrolę jakiejś myśli przewodniej, bez podstawy gruntu rozumowego. Autor Robinsona, który był myślicielem i filozofem, tak dalece prawdę tę pojmował, że nie zostawił bez jej pojęcia nawet swego samotnika na wyspie bezludnej i zrobił mu z niej pewne prawo moralne, które rządziło nawet jednostką odosobnioną dla tego mianowicie, aby nie zmieszała się w niej równowaga sił, które skłócone tworzą chaos i rozrywają piękno ducha — jego harmonią.

Cóż zatem skłania pewną liczbę osób, które żyjąc w społeczeństwie cywilizowanym znają niewątpliwie choć część owych dobrodziejstw pracy, jakich się wyrzekają, aby przyjmowały same tylko tej pracy ciężary? Nie jest to niestety, żadna na czyjaś korzyść ofiara, żadne poświęcenie, lecz smutny skutek przesady i sfalszowanych przez niego pojęć: taki średniowieczny wstyd pracy, że dla ukrycia jej po za pozorem lichym i nawet bardzo przezroczystym, wyrzekamy się zasadniczych praw człowieka społecznego: prawego nabytku którym się pracowity trud opłaca i niezawisłego stanowiska, które jest pewnym rodzajem tarczy obronnej dla naszej godności osobistej. Kto jednak istoty pracy dobrze poznać i dostatecznie ocenić nie umie, kto ją za źródło poniżania uważa, ten właśnie boleśnym takim wysiłkiem stara się godności swojej bronić i poświęca na ofiarę błędnemu dostojności swej wyobrażeniu wszystko to właśnie, co jest rzeczywistym tej dostojności warunkiem — co jest podstawą szczęścia, a nie ledwie samą szczęścia możliwością.

Panna, która się gdzieś bawi, co odpowiada dawniejszej rezydentce, lub pannie respektowej, osoba przebywająca wśród rodziny bez żadnego wyraźnego oznaczonego względem tej rodziny stosunku, tem się się w pojęciu swoim nad tłum służebny podnosi, że żadnej pracy obowiązku na siebie nie bierze, więc niewmieszczona w liczbę osób, za pracę swą płatnych, zostaje niby w tej uprzywilejowanej klasie towarzyskiej, dla której praca nie jest gwałtem konie-

czności materialnej. Przecież potrzeba jej dachu nad głową, potrzeba chleba dla ust głodnych i musi szukać sobie zaspokojenia tych pierwszych potrzeb bytu ziemskiego, które tylko starzec lub kaleka, inwalidzi życia, darmo od społeczeństwa dostawać mogą. Czyż i ona, zdrowa i młoda, przez wstyd pracy do tego rzędu niedołężnych istot się zaliczy, czyż przyjmie jałmużnę i żyć z nią będzie?

Całe setki — na wsi szczególnie — ubogich kuzynek pańskich, biednych sierot szlacheckich skazuje się na życie poniżenia takiego, dla godności swej niby, której nieszczęśliwie bronią przyjmując życie łaski, więc zawisłości najwyższej, gdy praca, która jest dumą ubogiego, byłaby niezawisłością, więc godnością właśnie. Zależność od obowiązku czyż wstydzic może, gdy wszyscy w ten lub inny sposób obowiązkowi jakiegoś rodzaju ulegać muszą? Niema obowiązku bez granic, po za temi granicami więc istnieje już niezawisłość i swoboda, na którą się wydostajemy z chwilą wypełnionego obowiązku, a jest tak równie pod fizycznym jak moralnym względem. Za to a to, co otrzymać pragniemy, oddajemy tamto i tamto i tu jest koniec obowiązku: nietylko osobistość nasza pozostaje już wolną, ale czuje się zawsze równą względem tych, z którymi stosunek pracy ją wiąże. Była wymiana usług, bo była zobowiązność potrzeb, żadna strona zatem poniżoną czuć się nie powinna, żadna wynosić się nie może, niema do tego ani prawa, ani racji słusznej.

Łaska tylko może dumę naszą upokarzać, łaska może duchowi naszemu zaciężyć, bo łaska tylko wiąże nieograniczenie; datki jej choćby najzupełniej materialnej natury, pociągają za sobą i zobowiązania moralne — wdzięczność, która tylko w połączeniu z uczuciem miłości ciężka nie jest. Zostawiać do kogoś obojętnego nam, albo miłego zaledwie, w stosunku ciągłym odbieranej łaski, jest to właśnie upokarzać się najmocniej, bo uznać niedołęztwo własne i żyć się z nim, przyjąć je na trwanie spokojne. A nie jestże to razem wystawic się na pokuszenia natury najgorszej, na mimowolne uczucie niższej zażdrości, zgryźliwej niechęci względem szczęśliwiej położonych, bogatych lub zdolniejszych, które ła-

two przyjść może, gdy czara goryczy z poniżenia naszego wyniku przeleje się po za brzegi. I druga strona jest równie kusząca do złego złem, nieturalnem rzecz położeniem, bo kto łaskę świadczy, może się tak łatwo stać pysznym, jak ten który ją przyjmuje uniżonym, może się stać samowolnym, bo nie samowoli jego nie ogranicza, a wrodzona ludziom miłość własna, może łatwo wyświadczoną łaskę przecenić, i w wymaganiu odpłaty za nią przejść granice słuszności. Ledwo najszlachetniejsi umieją łaskę dobrze świadczyć, ledwo najszlachetniejsi umieją łaskę dobrze przyjmować, a wszystko, co jest w naturach pospolitszych brakiem i wadą, w stosunku podobnym potęguje się zobopólnie, aby go czynić trudnym i przykrym do zniesienia. Tylko—powtarzam—miłość prawdziwa, tylko ukochanie głębokie naturę takich okoliczności zmieniać może: wtedy przyjmowanie łaski jest rozkoszą, a wyświadczenie jej szczęściem, to też powiedzieć raczej trzeba, że wtedy istota sama łaski się zmienia. Niema jej w znaczeniu ścisłym, bo jest taka nieustanna, taka ciągła wzajemnych łask wymiana, ciągle dawanie i odbieranie, że jedno drugie znosi i jest równe dla obu stron wytwarzanie się szczęścia.

Mało kto jest tak surowej uczuć niedelikatności, aby za łaskę odbieraną wypłacić się nie pragnął, używając w ten sposób i serdecznej potrzebie wdzięczności i naturalnemu uczuciu godności osobistej, która instynktownie popycha do wypłaty długów zaciągniętych. Dla tego też każda panna „która się bawi” usiłuje odpracować za owe smutne bawienie się swoje, usiłuje się czemś przysłużyć, nadskoczyć, jak się mówi językiem zwyczajnym i oto zaczyna się życie ciężkiego mokołu, który bardzo często nie rachuje się za nic, bo przez nieoznaczoność swoją staje się mało widocznym, życie bolesnego czuwania i chwytania okoliczności, wśród których nierzadko następują wysiłki smutne ze służbą płatną najniższego rzędu, walczenie z faworytką pani, lub poufałym panu, więc strącenie się na taki poziom niski, na który nie sprowadziłyby nigdy obowiązek jawnie przyjęty i uczciwie, sumiennie, bez płaszczenia się przed nikim wykonany. Każdy wie jak drogo kosztuje takie kupno, jak często wywołuje niezadowolenia obustronne, gdy sprzedający czy nie chcąc, czy nie umiając ocenić tego co zbywa, powie że przyjmuje: „co łaska”. To samo powtarza się w stosunku osoby bawiącej i tych u których bawi. Obie strony dają co łaska i obie strony mogą sądzić, że dają za wiele, a otrzymują za mało. Trzeba—powtarzam—dusz anielskich lub serc bardzo kochających, aby mogło być inaczej.

(Dokończenie nastąpi).

ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPOŁECZNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

VI.

Miasteczko bułgarskie.

Nie wiem czy istnieje gdzie w świecie powóz niewygodniejszy nad tak zwaną „harabę”. Budy żydowskie, jakich u nas używają, znane pod nazwą bryk krakowskich lub brodzkich, „birze” wołoskie „patasze” i „tapissyerki” francuskie, są to karety w porównaniu z harabą turecką, zbudowaną na to, jak się zdaje, ażeby podróżującym w niej Europejczykom bądź kości łamać, bądź też dusze wytrząsać. Toczy się powoli — kości łamie; pospiesza — duszę wytrząsa. Alternatywy tej uniknąć nie sposób, konstrukcja bowiem haraby jest taką, iż nie dopuszcza siedzenia innego, jak tylko tureckie, z nogami pod

siebie podgiętymi i z ciałem naprzód pochylonem, Wasąg płytki a szeroki i przykrycie niskie nie pozwalają rozsiedać się na sposób europejski. Koła wysokie i brak absolutny resorów i pasów nie przyczyniają się do wygody, której nie mniej nie sprządzają malowania i rzeźbienia, zdobiące obicie zewnętrzne, wiązanie wasąg, dyszel i budę. Wygląda to oryginalnie, lecz podróżny wolałby mniej ozdób a więcej komfortu i nieraz do dyabłów wszystkich odsyła kwiaty, zygzaki, esy i floresy, zapuszczane barwami w oczy bijącymi, lub nakładane złoceniem od słońca połyskującym.

A zaprzęg! Zastanawiałem się nieraz nad tajemnicą zaprzęgu tureckiego i w ostatku do tej doszedłem konkluzji, iż nie jest on czem innym, jeno wyobrażeniem wiernem niewolnictwa, w zastosowaniu do konia. Gdzie niewolnictwo, jako zasada ogólna panuje, tam się ono we wszystkich przebija. Koń turecki w zaprzęgu nie tylko się swobodnie, ruszać, ale ani ogonem machnąć, ani uchem kiwnąć nie jest w stanie, jest bowiem rozpięty na dyszlu, uwiązany tak, że tylko nogami ruszać może, ma u szyi futerałach i ogon krajką raz koło razu obwinęty i do chomonta z boku przywiązany. Patrząc na niego, przy dyszlu haraby, zaledwie poznać można, że to koń, stworzenie z najpiękniejszych jedno, takiego potwora Turcy z niego robią, zmieniając mu postać i zadając przez to męczarnie najokropniejsze. W dzień gorący, muchy tną, słońce dopieka, koń biedny ani głową, ani uchem, ani ogonem, w celu ulżenia sobie ruszyć nie jest w stanie. Turcy wiedzą o tem i łomaczają się z tego tem, że tak ładnie.

Ha! są gusta i gusta.

Anglik nasz ramionami ścisnął i spluwał, patrząc się na męczarnie stworzeń biednych, które, w celu dodania im animuszu, woźnica, mający siedzenie na dyszlu prawie, kijem zaostrzonym w uda i pod brzuchy sturczał.

— O Turcy!.. — wołał — jakże ty się malujesz wiernie w tych koniach i w tym woźnicy!.. Woźnica, to sułtan.... Konie reprezentują szczęśliwość, jakiej zażywają poddani sułtana. Czy to nie trafne porównanie?.. Patrząc na zaprzęg ten, nie chciałbym zostać, za żadne świata skarby, sułtańskim poddanym.

— Są jednak Anglicy — wszczął doktor.

— Są! — podchwycił Anglik. O! są.

— Dla zysku... przez miłość własną...

— Dla zysku... tak... ale nie przez miłość własną! Dla obroku, ale nie przez miłość własną! O! nie... Możnaż bowiem przypuszczać, ażeby smiertelnik jakiego, idąc za tą podnietą, brał na siebie charakter konia zaostrzonym kijem sturchanego! Ochl! Ajel!

Mister Wayton wydał te wykrzykniki, będąc uderzony zarazem w głowę i w bok. Haraba wjechała kołem na kamień i stuknęła. Chwycił się więc za bok i za głowę.

— Oj! czy dowiozę ja do Zarnicy koście całe?

— Cierpliwości i wyrozumiałości — perswadował doktor. Toć to początek dopiero. Nie dotrwasz do końca.

— Dotrwam, o to bądź spokojny... chociażby mi przyszło kończyć dzieło rozpoczęte z kośćmi pogrochotanemi. Narzekam, bo mi narzekać wolno.... Jestem w prawie mojem. To mi jednak nie przeszkadza bynajmniej widzieć i oceniać piękności natury. Ojczyzna wasza jest piękna.

Pochwała ta odnosiła się do doliny rzeczki Łom, w której droga szła. Anglik przywykły do widoku kultury, wyzyskującej każdy ziemi kawałek do uprawy przydatny, nie mógł się dość nadziwić obszarom odłogującym, porośłym trawą i kwieciami.

— Tak było chyba za czasów Adama i Ewy! — wywoływał co chwila. Patrz! patrz.... a to co?

Zapytanie to ściągało się do przestrzeni okiem nie objętej, na której falowało się zboże bławatem poprzetykane. Powierzchnia zboża odbijała metalicznym połyskiem, przysłoniętym niby leciuchną gazą pajęczynową, zasnutą na każdym z osobna kłosku. Sprawiało to efekt w rodzaju swoim osobliwy. Zboża podobnego nie widuje się i mister Wayton nie wiedział do jakiego je zaliczyć rodzaju, tem bardziej że nie widział bruzd, świadczących o przygotowywaniu pod nią roli. Nie był to jęczmień; nie była to pszenica; nie było to wreszcie żyto, pomimo że do tego ostatniego podobieństwa najwięcej miało. Doktor zagadkę rozwiązał.

— To dzikie żyto — rzekł.

— Znajdujemy się przeto w obec tego zboża pierwocinnego, które wielki jakiś a nieznaną geniusz na korzyść człowieka spożytkować potrafił.

— Zdaje się — odparł doktor.

— Cóż wy z niego robicie?

— Kosimy na paszę, póki niedojrzałe, reszta zaś zostaje i nasiewa się. Są to łąki.

— Do kogóż one należą?

— Do nikogo... a właściwie, do sułtana, właściciela wszystkiej ziemi w państwie Ottomańskim... Rolnicy są jego dzierżawcami.

— Hm — mruknął Anglik po chwili namysłu. Nie jest to rzecz słuszności racjonalnej pozbawiona... tylko w niej obeszłoby się bez sułtana.

— To też — odrzekł doktor z uśmiechem — pragnienia nasze najgorętsze zmierzają do tego, ażeby się go pozbyć. Nie odzywamy się z tem głośno, ale... pragniemy tego serdecznie.

— My nie tacy powściągliwi. Czego pragniemy, o tem jak najgłośniej mówimy.

— Postawno się na miejscu naszym! Bułgar każdy, dlatego że się Bułgarem urodził, pozostaje w ojczyźnie własnej, jak w więzieniu prewentywnem, pod śledztwem ustawicznym, mając przeciwko sobie i Turków i gorszych od tych Greków.

— Greków! — zawołał Anglik tonem zdziwienia. Ich położenie jest takie same, jak wasze!

— Biorąc rzecz bezwzględnie. Zachodzi tu jednak ta okoliczność, że Grecy zapomnieć nie mogą, iż byli niegdyś panami kraju; uważają go za własność sobie wydartą i pragną do takowej powrócić.

— Prawa historyczne... o!.. — zawołał Anglik. Mówiłem już, co o historii myślę. Prawa historyczne, to chaos... o!.. ho!..

Z tematu tego wywiązała się długa rozmowa, która tak Anglika zajęła, że nie zważał ani na niedogodność jazdy tureckiej, ani na osobliwości natury. Haraba podrzucała, krajobrazy się zmieniały, on kwestyę praw historycznych rozwijał i ze stron rozmaitych rozpatrywał, dowodząc że postęp ludzkości zależy nie na czem innym, jeno na na ustawicznym praw historycznych gwałceniu.

Przecież — powiadał w zapale dyskusji — i słońce samo, to słońce co nam przypieka, praojcowie nasi otoczyli prawami historycznymi, opartymi na dokumentach powagi ogromnej. W coż się to obróciło? Przyszłość Kopernik i zgwałcił...

Wyrażnie Anglik nasz należał do tej szkoły, która klątwę różnych jest przedmiotem. Dla tego rozmowy, jaką on z doktorem przeprowadził, powtarzać nie będziemy. Znudzilibyśmy nią czytelnika, tem bardziej, że gdybyśmy się w powtarzanie wdali, to musieliśmy przytaczać ją w całości, opowiadając, jak się ona urywała i wznowiała, na drodze, na popasach i na noclegach. Mister Wayton, jak się zdaje, chciał przedmiot wyczerpać. I wyczerpał go też sumiennie, jakby mu co natem zależało, ażeby w towarzystwie podróży wrazić przekonania, które oni zresztą, w części znacznej, podzielali. Takim jednak bywa usposobienie ludzi niektórych, że szukają objekey tam nawet, gdzie takowych nie ma. Do rodzaju ludzi podobnych i nasz Anglik należał. Dyskutował, rzecz można, sam ze sobą, aż doktor, wyciągając rękę, pokazał mu osadę i rzekł:

— Oto Zarnica.

— Oh! — Anglik na to. Kres podróży waszej, ale nie mojej.

— Kto wie, czy i naszej.

— Macie przecie zamiar osiedlić się tu na zawsze.

— Tak, zamiar ten mamy, ale zamiar i przyprowadzenie takowego do skutku, są to dwie rzeczy różne. Człowiek jest w życiu wędrowcem wiecznym, zwłaszcza jeżeli wola jego własna znajduje się pod dyktando woli zwierzchniej, takiej jak ta, która Bułgarię rządzi. Nie sposób ani przewidzieć, ani odgadnąć, co się stać może.

Zarnica przedstawiła się dość malowniczo, jak za zwyczaj przedstawiają się osady w górach położone. Bałkany służyły za ramy obrazowi, którego ona punkt ogniskowy zajmowała. Było to miasteczko, leżące w dolinie nad jednym z prawobrzeżnych przytoków rzeczki Jantra, wpadającej do Dunaju pod Sistowem. Przytok ów miał charakter czysto górski, płynął z szumem w korycie kamienistym i głębokim, którego brzegi mieszkańcy przyozdobili w kupy śmieci i gnojów, wyglądających z daleka naksztalt pagórków nagich, pokazujących się z pośrodku dańców czerwonych i sadów zielonych, tworzących tło miej-

skiego obrazu. Trzy minarety, wyskakujące po nad poziom zastrzonymi, a świecąca blachą pokrytymi dachami świadczyły, że w Zarnicy znajduje się ludność muzułmańska, nie w wielkiej jednak ilości, kiedy się nie zdobyła na wzniesienie meczetów więcej jak trzech.

Turcy lubią meczety budować. Stanowi to polityczną właściwość panowania ich na religii opartej, i religią się, jako jednym ze środków, posługującą. Trzy więc meczety świadczyły, że nie stanowią oni większości w zaludnieniu Zarnicy, rozrzuconej szeroko w dolinie i wspinającej się przedmieściami po łagodniejszych pochyłościach otaczających ją gór...

Przedmieścia obszerne stanowią ogólną miast i miasteczek bułgarskich własność. Są one niby oprawą osad, nadającą im wdzięk, którego bez niej nie miały. Przedmieścia składają się nie jak na Zachodzie z domków ubogich i brudnych, dających przytulisko nędzy, ale z winnic i sadów a raczej z ogrodów obszernych, w których uprawiają się zarazem winna latorośl i drzewa owocowe i w których, ocieniony orzechami, kasztanami lub platanami, przegłąda domek schludny, służący do mieszkania letnią porą, i to do mieszkania ciągłego dla dozorców i robotników; dla właściciela zaś i rodziny jego do spędzania dni świątecznych. Przedmieścia przeto nadają osadom wdzięk niepospolity, same zaś w sobie są daleko piękniejsze aniżeli przedmioty, którym za oprawę służą. Zdaleka tylko, w perspektywie, miasta i miasteczka, z dachami czerwonymi, z minaretami błyszczącymi, z drzewami wśród domów, z cmentarzami i cyprysami, mają pozór wielce malowniczy. Odnosi się to szczególnie do osad górskich i podgórskich. Zarnica należała do rodzaju tych ostatnich. Ku południowi główny grzbiet Bałkanów widniał w dali; ku północy kraj otwierał się i oko błądziło po garbach, rozrzucających się niby na przestrzeni bezgranicznej; na wschód i na zachód wznosiły się odskoki Bałkanów, góry niebotyczne, w części lasem pokryte, w części skałami najeżone, urwiste i przepaściste.

Pod względem rozkładu wewnętrznego, Zarnica nie różniła się niczem od rozkładu wszystkich w ogólności miast bułgarskich. Środkowy jej punkt stanowił rynek — *czarszija* — wybrukowany i zabudowaniami otoczony. Jedną stronę onego zajmowała *dżamia*, zbudowana z niejako do architektury pretensją, przebijającą się szczególnie w arkadach, otaczających budynek wewnętrzny i formujących podstawę, na której opierała się bombiasta kopuła. Użyta do arkad cegła, naprzemian czerwona i blado-żółta, wyróżniała dżamię. Do niej, frontem na rynek obrócony, przypierał dom długi, o piętrze, wapnem pobielany i dwoma jednakowymi szeregami okien świecący a jedne tylko drzwi wchodowe posiadający: w domu tym mieściła się *mektebe*, szkoła turecka, w której nauczano czytania Koranu i kaligrafii. Po drugiej stronie dżamii wznosiło się grobowców kilka i szumiały cyprysy, a przed nią, na rynek wysunięta i rozłożystym platanem ocieniona, stała *czesme*, studnia murowana z kamiennym dużym żłobem, do którego z siedmiu rur żelaznych płynęła woda jak kryształ czysta i, jakby przez lodniki przechodziła, chłodna. Woda owa odpływała wyzłobieniem przez środek rynku przeprowadzonym i formowała strumień, na którym chłopięta tureckie młynki stawiały. Strumień, wpadał do kałuży, rozlewającej się z boku rynku podłużnie a po wymknięciu się z takowej wsiąkał w gnojowisko i ginał, jak w piaskach gina rzeka niektóre Afryki środkowej. Kałuża, pełna zawsze odpadków zwierzęcych z rzeźni wyrzucanych i nie wyzwalająca się nigdy od zwłok psich i kocich, rozlewa się przed stojącymi szeregiem i zajmującymi całą jedną rynku stronę czterema domami, z których w jednym mieścił się *bakalin* (handlarz korzenny), w drugim piekarni, w trzecim *halwadii* (fabrykant halwy), w czwartym *tustiundzi* (kupiec tytoniu). Ażeby się do nich z rynku dostać, trzeba było przez kałużę przechodzić. Na ten cel przed każdym z wyżej rzeczonych sklepów ułożono w poprzek ulicy kamienie wysokie, w takiej jeden, od drugiego odległości, ażeby wozy przechodzić mogły. Dodać należy iż dno kałuży było wybrukowane, co ją tem oryginalniejszą czyniło, albowiem, zdawało się, że naumyślnie w środku miasta, przy zakładach tak ważnych jak piekarnia i sklep korzenny, urządzono biornik nieczystości, używszy do tego czystej jako łąza

wody. Przeciwniegi rynku stronę zajmowała kawiarnia, budynek obszerny, będący oraz i zajazdem dla podróżnych, z krużgankiem z przodu, na który prowadziły schody zbudowane na zewnątrz domu. Przed kawiarnią rósł jawór wspinały, szerokie konary rozrzucał dokoła i służył na użytek dwójaki: pod nim goście, w dnie upalne, spoczynku a niekiedy i wczasu zażywali, na jednej zaś z jego gałęzi wieszano przestępców na karę śmierci skazanych. To ostatnie zdarzało się dość rzadko i spotykało zazwyczaj cyganów, nie przeszkadzając wcale gościom pić kawę i fajki lub nargil palić. Od kawiarni ciągnęły się mury: z za których wyglądały dachy jakieś i drzew wierzchołki i to stanowiło czwartą rynku stronę.

Nim rynek opuścimy, słówko jeszcze powiedzieć musimy o znajdującej się na nim osobliwości jednej, należącej do zabytków czasów minionych. Na środku prawie, bliżej atoli kałuży aniżeli stron innych stała tam budka kwadratowa, z desek zbita i daszkiem dranicowym nakryta. Prowadziły do wnętrza jej drzwiczki wąziutkie, obok których znajdowało się okienko zasłaniające się okieniczką otwieraną od spodu. Okieniczka ta otworzona i słupkiem podparta stanowiła przed okienkiem stolicek, na którym nigdy nie znajdowało się nic, pomimo że stolicek stał na swoim słupku regularnie, dnia każdego piątki wyjmując, od wschodu do zachodu słońca. Okieniczka regularnie się o wschodzie słońca otwierała, o zachodzie zamykała. Otwierała ją i zamykała żółty niby cytryna, pomarszczony, pochylony, na szczepie zeschły, długą białą brodą odznaczający się a wielkim turbanem głowę przykrywający staruszek, który do budki wchodził, drzwiczki za sobą zamykał i przesiadywał w niej po dniach całych. Coż to znaczyło? A oto co. We środku budki znajdowało się najprzód, obok okienka, siedzenie dla staruszka, składające się z ławki szerokiej, przykrytej skórą barania i zaopatrzonej w poduszkę do opierania się. Obok, na stoleczku, stał dzban na wodę, z szyjką długą i z otworem do picia w uchu (rekomenduję dzbany takie, jako bardzo praktyczne). Ściany wewnętrzne budki, zaopatrzone w półeczki od dołu do góry, zastawione były fiolkami, słoikami, pudełeczkami i ziół zeschłych pękami. Starzec był to lekarz i aptekarz zarazem miejscowy. W budce swojej dawał konsultacje, które się odbywały w sposób dość oryginalny. Chory lub też posłaniec od chorego pukał do okienka; okienko się otwierało i ukazywała się w niem głowa uchem zwrócona. Chory, stawiając na okienko szklankę, filiżankę lub buteleczkę własną, opowiadał symptoma słabości. Gdy skończył, przez okienko wysuwała się ręka chuda, zabierała naczynie przyniesione, zamykała okienko i po chwili znów je otwierała, wystawiając na stolicek szklankę, filiżankę lub buteleczkę napełnioną płynem, proszkami, nasionkiem jakiegoś, maścią lub ziółkami. Pacjent kładł „par“ dwadzieścia, zabierał lekarstwo i odchodził. Okienko się zamykało. Tak się odbywały konsultacje. Staruszek nigdy o nic nie pytał i nigdy rady żadnej ustnie nie dawał. Konsultacja każda i lekarstwo w dodatku kosztowały niezmiennie par dwadzieścia, co na monetę naszą wynosi mniej więcej groszy pięć. Było to co prawda, tanio. Mimo to, a może właśnie dla tego, *babo-Mussa* — tak starca nazywano (*babo* znaczy dziad) był w Zarnicy mieszkańcem najbogatszym, posiadał dom urządzony z wykwintem na sposób wschodni, synów wyposażonych, córki powydawane, harem dobrze zaopatrzony i w gronie licznej służby, sługę jednego wiernego, którego w sztuce leczenia wtajemniczał i który tymczasem zajmował się zbieraniem ziół i preparowaniem proszków, płynów i maści, używając do tego wyłącznie artykułów na miejscu się znajdujących.

Ciekaw kto może wiedzieć, jak chorzy, bez ustnych lekarza instrukcji, lekarstwa zażywali. To już do chorych należało. Zresztą rzecz raz na zawsze wiadoma, że płyn ze smaru, proszek do połknięcia, maść do smarowania, ziółka zaś, nasiona i korzonki do gotowania i wywarzania. *Babo Mussa* uchodził za nadzwyczajnie w sztuce swojej biegłego. Udawano się do niego we wszelkich słabościach z wyjątkiem następujących: gdy kto rękę lub nogę złamał, to używał kowala, gdy kto na krew lub na ból zębów zachorował, to szedł do golibrody, który krew puszczał, pijawki stawiał i zęby rwał. Przy kowalu jednak i przy golibrodzie, zasięgano jeszcze

i rady baby, kosztującej tak niewiele a pomocnej na pewne, zwłaszcza we wszelkich *watamaturach*, chorobach, o których ponoć nie wie medycyna żadna, a których gniazdo znajduje się pod sercem. Bułgarzy przejęli choroby te od Wołochów sąsiednich, równie jak i sąsiadujący z tymi ostatnimi ze strony przeciwnej Rusini, pomiędzy którymi one także grasują pod nazwą ogólną „bólów pod sercem“. Owóż, w leczeniu bólów tych *babo Mussa* był mistrzem nie przeciętnym. Dawał co niebądź, proszek, maść lub napój, i niby ręką odejmował.

Budka więc baby Mussy ważną, jak widzimy na rynku zarnickim odegrywała rolę. Chociażby dla roli tej, wspomnieć o niej warto było, bez tego bowiem opis Zarnicy stałby się niedokładnym, zabrakło by w nim jednego z rysów najcharakterystyczniejszych, znamionujących gospodarke naturalną turecką. *Babo-Mussa* stanowi typ rodzajowy, odegrywający rolę nienajpodrzedniejszą w życiu społecznym. Typy takie są to pęta u nóg postępu, bafamujące umysły ogółu. Wracajmy jednak do opisu Zarnicy.

Od rynku rozchodziły się ulice w różne strony, z tych jedne, krótkie, prowadziły do rzeczki i wznoszących się nad takową śmietników, przygotowujących się na to, ażeby były kjoekkenmoeddingami dla archeologów przyszłości, drugie, długie, szły równoległe do biegu takowej. Każdą prawie z tych ostatnich, w tej połowie co do rynku przylegała, zajmowali handlarze i rzemieślnicy rozmaici. W jednej znajdował się szereg kramów bławatnych, w drugiej krawce, w owej szewce, w innej szmuklerze, w innej kotlarze, tu panowała cisza, ówdzie rozlegał się stuk młotów, lub też skrzyp i burczenie warsztatów i kołowrotek. Jedne rzemiosło prowadzili Turcy, drugie znów chrześcijanie — istnieją bowiem rzemiosła pewne, jak korszcharstwo naprzykład, uważane przez Turków za poniżające godność ich człowieka. Nie było tego w ilości wielkiej, Zarnica bowiem nie należała do miast tego rodzaju co Ruszczuk, Szumla (Szumen), Tyrnawa i t. p.; było to miasteczko; każde jednak miasteczko w Bułgarii, będąc ogniskiem przemysłu naturalnem okolicy swojej, koncentruje w sobie handel i rzemiosła w większej lub mniejszej liczbie, stosownie do rozległości promienia w którym oddziaływa, ale w komplecie, ażeby mógł zaspokoić potrzeby mieszkańców siół ciągnących ku niemu. Z tej przyczyny Zarnica posiadała wszystko, co posiadają miasta wielkie, tylko w stosunkowo zmniejszonej ilości, czyli, wyrażając się inaczej, była miastem pełnem w miniaturze, oprawionem w takie same ramy administracyjne co i miasta największe, z tą jeno różnicą, że w ramach owych, w punktach wiązania, tkwiły ówieki z mniejszymi stosunkowo główkami, ale tego samego gatunku: administrację sprawował mudiir, sądową władzę dzierżył kady, podatki pobierał dzierżawca, który był Grekiem, sumieniami władał i powinności kościelne wybierał proboszcz, który był także Grekiem a obok tego istniała władza autonomiczna skoncentrowana w radzie municypalnej, zwanej *mizliszem*, obdarzonej atrybutami tak mądrze dobranymi, że władza ta nigdy do wiedzieć się nie mogła, co do niej należy a co nie należy, pomimo że za wszystko odpowiedzialną była.

Mizlisz składał się w połowie z Turków, w połowie z chrześcijan, pomimo że pierwsi do drugich znajdowali się w stosunku jednostki do dziesiątki; w połowie zaś chrześcijańskiej zasiadali w równych ilościach Grecy i Bułgarzy, bez względu na to, że pierwsi do drugich znajdowali się w stosunku jednostki do sta. Nazywało się to: wymierzeniem Bułgarom sprawiedliwości, przepisanej aktem wielkim najwyższej łaski sułtańskiej, której wyrazem, w swoim czasie głośnym i wysoko sławionym, był *hati-humajum*. *Mizlisz*, w ten sposób złożony, radził, Turcy rządili, Grecy się do rządów mieszały i z tego wszystkiego robiła się mętna woda podobna do owej kałuży, opisanej powyżej. Był ktoś, co w tej mętnej wodzie ryby łapał. Nie byli to jednak Bułgarzy. Ci szyli, kuli, skóry wyprawiali, podatki płacili, ciężary wszystkie ponosili i obowiązani byli składać sułtanowi dowody wdzięczności nieograniczonej, przywiązania i miłości uczynkiem, mową, myślą nawet.

Tak się działo po miastach wszystkich: Zarnica wyjątku nie czyniła.

Hati-humajum to sprawił, że faktycznie ciężarów przysporzył; pojawieniem się zaś swoim, motywami i definicyjami, które mi pojawienie się usprawiedli-

wiał, spotęgował oskome do praw, u ludności, która już niejako, dzięki sąsiedztwu z Wołoszą i przykładom serbskim, przecucie onych miała. I wytworzył się z tego stan chaotyczny, w którym ład utrzymuje przemoc narzędzie kruche, zużywające się i nie pewne, podsywające się pod sprawiedliwość i przez to, wszędzie i zawsze, występujące w świetle fałszywym. Z fałszu wytwarza się komplikacja tak w atrybucjach władz, jako też w stosunkach wzajemnych pomiędzy rządzącymi a rządzonymi. Nikt nie wie czego się trzymać, nikt jutra pewnym nie jest. W Turcyi chorobliwość ogólną okrywa błyszcząca samowładztwa opona: poddani sułtańscy na rozkaz śmieją się i płaczą, na rozkaz wyznają się szczęśliwymi i zadowolonymi, na rozkaz okazują entuzjazm niepowściągnięty; po za rozkazem zaś suszą sobie głowy nad tem, jakby to przyjsz do myślenia o samych sobie, do owego *selfhelp* przez Anglików zalecanego a będącego alfą i omegą w trosce o byt, tak w odniesieniu do człowieka pojedynczego, jakoteż i w odniesieniu do narodów.

W Zarnicy, do której zanim podróży naszych wprowadzimy, wprowadzamy naprzód czytelnika, suszenie głów odbywało się tak samo jak wszędzie indziej, na obszarze całym zamieszkiwanym przez plemię Bułgarskie. Mieszkańcom Zarnicy, jak mieszkańcom wszystkich innych miast, powtarzam przy sposobności każdej:

— Co za łaski na was spadły! Jacy wy szczęśliwi! Nie macie o czem myśleć ani o co się troskać: sułtan przewidział i obmyślił wszystko.

Oni jednak, bijąc pokłony, nie wierzyli temu.

Drudzy zaś, a tych większość znajdowała się ogromna, milczeli, z niczem się nie wydawali i Bóg jeden czyba wie, co się im tam po głowach snuło.

Trzeci zaś, w liczbie bardzo małej, krzatali się, przebąkując, coś o prawach, coś o obowiązkach, o przeszłości i przyszłości, o jakichś zadaniach do rozwiązywania, o krzywdach do naprawiania, o sprawiedliwości bożej, o pomocy ludzkiej i o różnych innych tym podobnych rzeczach, przez pół zaledwie zrozumiałych. Przemawiali mową zwyczajną i wiążaną. Rzucali niekiedy wierszy kilka, które łyż słuchaczom wyciskały. Działo się to w bezwiednem poczuwaniu się narodu do samoistności. Ci, co to czynili, ei, co milczeli a płakali, nie wiedzieli wcale, że są to syptomata, świadczące o budzeniu się narodu z letargu, który bez mała pięć wieków trwał.

Przez pięć wieków była Bułgarya zachloroformowana przez tureckich operatorów, którzy dokładali usilności jaknajwiększych i jak najmądrzej obmyślonych, ażeby ją uspić na wieki — i dokazać tego nie mogli. Poniszczili wszystkie pamiątki, powywozili wszystkie szczątki, pozacierali wszystkie świadectwa i ślady jej bytu, zmienili ją w kartę białą, sprawdzili ją do stanu owcy oddającej bezopornie swoje runo, mleko, skórę i mięso, otoczyli ją ruinami, pustkami i ciemnościami — i ona się... obudziła.

Zręcznymi byli ci operatorowie — zręcznymi tak dalece, że szkołę stworzyli; pokazuje się jednak, że zręczność ludzka, w razach pewnych, ustępować musi przed potęgą natury. Turcy wyrządzili wielkie krzywdy, sprawili ogromne szkody ludzkości, Bułgarom i sobie, ale nie zdołali natury przeinaczyć i ta odzyskała prawa swoje. Pozwoliła im gospodarzyć przez pięć wieków i po upływie takowych, jedną ręką, na zwyciężkim sztandarze tureckim pisze: „Głupcy“...

Drugą ręką budzi z uspienia naród, co z łona jej wyszedł i na łonie jej się przechował, i ten, przecierając oczy ze snu, bełkoce wyrazy dla niego niezrozumiałe, wywołując od czasu do czasu:

— Gdzie jestem?.. Co to znaczy?.. Wszak to nie dzień jeszcze!.. O, jakże bym pospał jeszcze trochę!..

Wyciąga się i ziewa.

VII.

Nowe osobistości.

Droga, która z Ruszczuka prowadziła, zjeżdżała się do Zarnicy z góry przykryj, po kamieniach i wybojach. Harabadijowie i podróżni powysiadali. Doktorowa, na widok miasta rodzinnego, doznała

wzruszenia tak silnego, że się odosobnić musiała od towarzystwa, ażeby swobodnie dać folę łzom, które jej co chwila do ocz się cisnęły. Doktor zamyślił się i, spoglądając na Zarnicę, oczy przymrużał. Gdyby w myśli jego zajrzeć, to, niezawodnie, znalazłby się u nich przedmiot do studium psychicznego obszernego. Człowiek ten, który dostojność człowieczą podniósł w sobie do potęgi, stawiającej go na równi ze wszystkimi tymi dostojnikami rodzaju ludzkiego, którzy górują wiedzą z trudem wielkim nabytą, schodził ze sfer wysokich na niziny. Mógłby pozostać tam, gdzieby go cenić umiano. Mógłby zasiąść w gronie uczonych na miejscu poczesnym. Można było, ze zmianą odpowiednią dwóch wyrazów a z pogwałceniem rymu, zastosować do niego zapytanie, które poeta Rzewuskiemu emirowi, zadaje:

„Czyż nie lepiej tobie było
Życ z lackiem pany?“

Człowiek ten przeto robił z siebie ofiarę i, zapewne, w chwili, gdy na Zarnicę z góry spoglądał, myśl o niej po głowie mu się snuła, nie w formie żalu, ale w postaci faktu, który rozpatrywać mógł, jako przedmiot znajdujący się na zewnątrz własnego jego ja. Rozpatrywanie to czynić musiał, jeżeli nie dla czego innego, to dla tego samego, ażeby rozważyć i rozmiarkować ofiary swojej doniosłości. Jako człowiekowi rozumnemu, chodzić musiało o to, ażeby takowa nie zmarniała, chociażby, przypuścmy, nie inne żadne, a osobiste jeno korzyści miał na widoku. Zamyślił się więc i także, jak doktorowa, odosobnił, pozostawiając na drodze Anglika i Stojana.

Ci dwaj szli jeden obok drugiego, i jak jeden tak drugi chcieliby rozmową się zabawić. Anglik miał o co pytać, Stojan miał co opowiadać.

Mister Wayton pragnął się dowiedzieć o niektórych danych statystycznych. Myślał nad sposobem zadania zapytania, odchrząknął razy parę i zapytał po angielsku, popierając wyrazy znakami mimicznymi, dokonywanymi przy pomocy palców:

— Ile mieszkańców liczy Zarnica?

Stojan głową kiwnął, brwiami skinał i odrzekł:

— Ty szczekasz a nie gadasz. Gdybyś gadał po ludzku, to ja bym cię rozumiał przecie.

— *How many?* — powtórzył Anglik dobitnie i powoli.

Stojanowi zabrzmiał w uszach akcent zapytania i wyrazy *how many* wpadł mu w słuch w skoszlawieniu, które mu przez podobieństwo brzmienia, nasunęło na domysł wyraz bułgarski z języka tureckiego przyswojony: „hamalin“ (tragarz).

— Hamalin? — zapytał.

— *Yes...*

— No? cóżbyś chciał od hamala?

— Ile Zarnica liczy mieszkańców?... ile?... znów Anglik pytał i na migach pokazywał.

— Nie szczekaj a gadaj. Chciałbyś żeby cię z góry zwiózł hamalin?..

— *Yes... how many?*

— Zkądże go wiać!.. Hamaly nie czekają na kamieniach przy drodze każdej.

Anglik ramionami ruszył.

— Jak widzę więc — rzekł — nie dowiem się ja o niczem...

Wyraz otatni zabrzmiał w słuchu Stojana na podobieństwo tego wyrazu bułgarskiego, który oznacza członek, zwany nosem.

— Cóż ty znów o nosie prawisz! — odrzekł Stojan. Od hamala do nosa. No?..

Anglik starał się zapomocą mimiki myśl swoją wyrazić, zakrzywił palce, kiwał niemi, stawiał je sztorcem na dłoni, pokazywał na siebie, na Stojana, na woźniców, na doktora i doktorów, na miasteczko, nie mógł jednak żadną miarą obudzić w towarzystwie swoim pojętności do zrozumienia zapytań jego. Nieporozumienia następowały po nieporozumieniach. Mister Wayton mówił coinnego, Stojan odpowiadał coinnego i skończyło się na tem, że rozmawiając ze sobą a nie rozumiejąc się wzajemnie, weszli do Zarnicy.

Nie wsiadali już do harab. Doktor podał żonie ramię i prowadził ją przodem. Za niemi postępowali Anglik ze Stojanem. Za tymi ostatniemi szły wozy. Tak weszli na rynek, na którym spotkała ich gromada działwy tureckiej ze szkół wypuszczonej. Wiodok osobistości obcych zadziwił bębnow pęci obojczy. Oryginalna postawa Anglika, kroczącego w kapeluszu

na bakier, a bardziej jeszcze kobieta w odzieży europejskiej, zawieszona na ramieniu mężczyzny sprawiły na nich wrażenie widowiska niespodzianego. Kupa hałaśliwa zatrzymała się i umilkła. Gęby i oczy po otwierały się szeroko. Podróżni nasi przeszli mimo. W gromadzie działwy znalazł się Turczynek jeden najodważniejszy, który ruszył za nimi; i inny znów odważył się krzyknąć:

— *Kokona!*...

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 17 stycznia 1874 r.

Stary rok skończył się smutnie i boleśnie dla starego Wiktora Hugo — drugi i ostatni syn jego po 16-tu miesięcznej chorobie opuścił ten świat.

Ciężka to dola, dla starca stojącego nad grobem, przeżyć swoje dzieci — to też żałobna moralna francuzkiego wieszczu odbiła się żywo w duszy jego ziomków. Przeszło 50 tysięcy osób odprowadziło zwłoki jego syna na cmentarz. A nie był to ceremonial konwencyonalnej żałoby wielkiego świata, ale wybitny objaw szczerzej sympatyj i głębokiego współczucia ludzi serca wszystkich klas społecznych, między którymi tak samo jak niegdyś na pogrzebie Berangera ludowa była najliczniejsza. Dwa pokolenia wykołysowane pieśniami poety przyszły zapłacić ojcu, na grobie syna dług ducha.

Pogrzeb Franciszka Hugo odbył się cywilnie, bez żadnej religijnej ceremonii — co posłużyło za pretekst niektórym dziennikom do dogodzenia swojej żółci — nie poszczędzono stroskanemu starcowi nie tylko zniewag, ale nawet gorzkich sarkazmów i szyderstwa.

Nie jestem bynajmniej zwolennikiem pogrzebów cywilnych — ale nie jestem także z liczby ludzi co bezwzględnie i zawsze rzucają kamieniem...

Widziałem nieraz pogrzeby ateistów, co źle żyli i źle umarli, odbywające się z niesłychaną wystawą kościelną. Zdarzyło mi się także być kilka razy na pogrzebach ludzi chowanych cywilnie, których jednak życie było prawe, a zgon chrześcijański. Czyż mam żądać wnosić, że pierwsi dostali się do nieba, a drudzy poszli do piekła? Nie. — Lepiej byłoby niezawodnie żeby rozdzieli tego gatunku nie istniały; ale na nieszczęście istnieją — a ci co występują jako lekarze, drażnią tylko ranę a nie leczą — tak się też stało z powodu pogrzebu Franciszka Hugo.

Nie miejsce rozbierać tu, co dało początek pogrzebom cywilnym, ale to pewna, że więcej jest prawdy, wiary i uczucia chrześcijańskiego w sercu Wiktora Hugo, niż w tych skrybach, którzy na bladą twarz spłakanego starca rzucili żółcią i błotą. Aby to zdanie moje nie zostało poczytanem za sąd bezzasadny i dowolny, czuję się w obowiązku przytoczyć tu ustęp za sprawozdania o tym pogrzebie wyjęty z dziennika należącego do chóru, tak zwanej *uczciwej prasy* (la presse honnête).

„To nie do Wiktora Hugo spirytualisty, nie do poety potężnego natchnieniem, odnosiła się cześć tych brudnych bluzowiczów i ich samiecsek (de ces blousards malpropres et de leurs femelles en caraco) co szli za trumną, dla których dziennik „le Rappel“ jest ewangelią — ale do Wiktora Hugo kandydata radykalizmu“.

„Ah! comme tout s'expie! Człowiek, który błyskał nieraz geniuszem, który wierzy w Boga i w nieśmiertelność duszy, musi dziś *znosić* przy trumnie swego syna tę tłuszcę bez wiary i bez ideału, która idzie na cmentarz, tak samo jakby szła na jaką zabawę, jedynie na złość reakcyi, na złość rządowi, na szyderstwo Bogu“.

„Nie tym sposobem powinien był iść na cmentarz ten znakomity, uczony i pisarz. Zasługiwał on na *delikatniejszą* i mniej huczną żałobę. Milsze by mu były łyzy przyjaciół i współwyznawców politycznych, niżeli łyzy tej zgrai, tego gnoju co zapełniał bulwary“.

„Ale należało zrobić tę ofiarę, bo zbliżał się termin 1 stycznia i szło o odnowienie prenumeraty Rapelu.“ (Figaro z 30 grudnia 1873).

Nienawisć, jaką oddycha ten artykuł i ta piekielna wzgarda dla najliczniejszej warstwy społecznej, któ

ra jest źródłem bogactwa narodowego, a ma jedynie w udziale znoiny, ciągły i dozgonny trud, tłumacza wiele rzeczy. A to tem więcej, że dziennik ten jest najulubieńszem pismem tutejszych konserwatystów, a ztąd naturalnym i najwierniejszym organem ich ducha; bo główną i charakterystyczną cechą mieszczańskiej kategorii i giełdowiczów, jest sowa ślepoty wrzeczach ducha i sumienia, adoracja do wszystkiego co błyszczy, pomieszana z zawiścią i nienawiścią do bluzy, bo odzież ta przypomina im pochodzenie ich, którego się wstydzą.

Trzy rzeczy idą zawsze w parze w tym dzienniku: religia, bezwstydnym cynizm i skorpionowy jad. Kolunmy jego zapełnione są codziennie facecjami tak wszetecznego ducha i formy, że żaden z tych bluzowiczów, którymi *uczcimy* ten dziennik tak pogardza, nie odważyłby się ich opowiedzieć w obec przyzwoitego człowieka. Ale mieszanina ta jest niesłychanie miłą dla publiczności. Każdy zamożniejszy reacyonista ma w swoim domu ten dziennik. Czyta go najprzód papa, potem mama, a w końcu córeczki jako najciekawsze (często pokątnie, a często otwarcie). Jest on więc stroicielem moralnym pewnej warstwy społecznej. Ale co gorsza, dziennik ten jest w wielkich łaskach u tutejszego duchowieństwa.

W społeczeństwie gdzie tacy bezczelni brudziele dusz, występują jako protektorowie religii i zyskują większą liczbę prenumeratorów niż inne dzienniki, żadne anomalie społeczne nie mogą dziwić nikogo — nawet cywilne pogrzeby. Wszakże, głęboko jestem przekonany, że bardziej zatrważającym symptomem dla tutejszego społeczeństwa jest powodzenie tego i tym podobnych dzienników, niż cywilne pogrzeby — bo przyczyna złego leży w pierwszych, a czyny anty-religijne drugich, są tylko ich wynikiem.

Franciszek Hugo był człowiekiem wzniosłego ducha i dziwnie łagodnego serca. Miał on lat 24 kiedy po Napoleońskim coup-d'état opuścił z ojcem Francję — a wrócił dopiero we wrześniu 1870 roku, po ogłoszeniu republiki.

Nie zmarnował tych 18-stu lat wygnania — jego przekład dzieł Szekspira, jest najlepszym ze wszystkich, jakie istnieją w języku francuskim. Gdyby nie napisał był nic więcej prócz 36 wstępów do 36 dramatów Szekspira, wystarczyłoby to już do dania mu zaszczytnego miejsca między pierwszymi nowoczesnymi literatami.

Z czworga dzieci Wiktora Hugo, została mu dziś tylko jedna córka, która wyszła za mąż i nie jest obecnie w Paryżu i dwoje wnucząt po starszym jego synu Karolu.

Nic rzewniejszego, jak skarga ojca po śmierci tego syna. Zakończę tu sprawozdanie zwrotką wyjętą z tej natchnionej poezji.

Aujourd' hui, je n'ai plus de tout ce que j'avais
Qu'un fils et qu'une fille:
Me voilà presque seul! Dans cette ombre où je vais
Dieu m'ôte la famille.
Où demeurez, vous deux qui me restez!...

* * *

Za miesiąc od dzisiejszej daty, Francja będzie miała króla, którego zjawienie się poprzedzi jakieś nadzwyczajne zdarzenie lub cud, a to dla większego dowodu że monarcha ten jest z ramienia Bożego. Niech szanowne czytelniczki Bluszczy nie sądzą, że mówię w malignie. — Nie. — Proroctwo które ogłaszam, nie wychodzi odemnie — jestem tylko jego echem. Ogłosiła je na pociechę legitymistom, jedna z Paryżkich katolickich księgarń, w kształcie broszury, p. t. „Le grand avènement!! précédé d'un prodige.”

Z proroctwa tego wynika, że 17 przyszłego lutego, to jest za miesiąc od dzisiejszej daty, Chambord będzie ogłoszony królem — tak twierdzi komentator proroctw sławnego d'Orwala (*) ex-notaryusz, pan Parisot, czyli raczej *Interesowani*, którym ów notaryusz pożyczyl swego nazwiska.

Na marginesie tej broszury mieszczą się wersety tekstu, a tuż obok objaśnienia:

Komentator cytuje najprzód proroctwa o Napoleonie I, o Karolu X, o Ludwiku Filipie i o Napoleonie III, które się sprawdziły i dochodzi tak aż do chwili obecnej.

Szanowne czytelniczki pragną zapewne wiedzieć co się stanie z Mac-Mahonem?... Niestety, smutny los go czeka. Prorok wyprawia go na tamten świat.

Biedny prezydent umrze nagłą śmiercią. Najdalej więc za trzy tygodnie od dzisiejszej daty odbędzie się jego pogrzeb — w ślad zatem objawi się ów cud zapowiedziany i Henryk V zostanie obwołany królem. Jednocześnie nieprzyjaciele religii i społeczeństwa (to jest republikanie), chwycą za broń i staną przeciw mężowi przeznaczenia, ale ten zwycięży ich, i pogodziwszy zwaśnione stronnictwa rozpocznie świetne swoje panowanie, którego przez całych lat 8 żadna nie zasępi chmurka.

Od 1882 r. zacznie się epoka moralnego zaćmienia i mrok ten rozpościerać się będzie *crescendo*.

Monarchia mająca za godło *libie*, utonie w tym mroku na zawsze, dnia 6 grudnia 1896 r. Wedle więc obliczenia komentatora, Henryk V panować będzie lat 22. Po jego zgonie, za sprawą Antychrysta, republikanie wezmą górę i nastanie prześladowanie *świątych*.

Jeżeli pozwoliłem sobie mówić w sposób wesoły o przedmiocie na pozór tak poważnym, to dla tego jedynie, że w proroctwie tem czuję fałsz ducha i że każde prawie słowo tej broszury zdradza faryzeizm polityczny i moralny.

Komentator d'Orwala, nie żenuje się wcale z tekstem proroctwa. Ile razy jest ono w sprzeczności z jego planem, bierze je na tortury i pęty naciąga aż do ciągnięcia do potrzebnej miary. W jednej rzeczy tylko jest jasny i nie jaka się wcale, to jest w datach. — Oznacza on wyraźnie, rok, miesiąc i dzień wszystkich przepowiadanych wypadków. Ta właśnie stanowczość twierdzenia zniewoliła mnie do zrobienia wzmianki o tem proroctwie, nie dla tego żebym mu przyznawał jaką wartość duchową, ale że może być ono skazówką w jakim kierunku zrobiony jest podkop i na jakim punkcie wystrzelić ma podsadzona mina. Broszurę tę ogłosiła księgarnia Palmé, przy ulicy Grenelle-Saint Germain N. 25.

Wyszło niedawno w księgarni Dentu (Palais-Royal, Galerie d'Orleans Nr. 17—19) ciekawe dziełko p. Audouard, pod tytułem: „*Gynecologie*”.

Nie jeden tak samo jak ja, zapyta siebie, na co ten szumny i pedancki tytuł i co on znaczy?

Tytuł ten jest poprostu fantazją, czyli raczej rezultatem zachcianki kobiecej. Pani Audouard, która nie może dotąd zapomnieć pamfletów Dumasa i ciągle walczy przeciw niemu piórem, pochwycona została nagle chorobą erudyty, z której urodziła się owa książka. Zwyczajny też tytuł nie zdawał się jej być godnym dzieła, gdzie długim szeregiem na kształt chińskich cieni przesuwają się najrozmaitsze osoby różnych epok i wykwitają co chwila nowe historyczne i literackie cytacje. Zagłębiwszy się więc w słowniku Littrego, odkryła tam ten scjentyficzny greckiego pochodzenia wyraz, którego użyła za tytuł. Chociaż brzmi on bardzo dziko, wszakże byłaby tylko połowa biedy, gdyby znaczenie jego odpowiadało treści książki — ale niestety rzecz się ma inaczej. Jest on w takim sam stosunku do dzieła, w jakim byłby do pensjonatu panińskiego szyld z napisem: „*Szpital kobiecy*”; bo wyraz *Gynecologie* przyjeży jest w medycynie dla oznaczenia wszystkiego co dotyczy natury kobiecej i chorób, którym podlegają kobiety — a przedmiotem książki pani Audouard jest istota moralna kobiety. Ale co tu mówić o logice — Zachcianka ma swoje prawa i drwi z logiki — dowiodła tego autorka, bo nie tylko dogodziła sobie, ale potrafiła jeszcze usprawiedliwić swój nielogiczny i pedancki tytuł paradoxem. Tłumacząc się czytelnikom mówi: „Wyraz antropologia, użyty jest w tak ogólnym znaczeniu, że obejmuje wszystko co dotyczy ludzkości, tak pod względem moralnym jak i fizycznym. Zdało mi się więc że właściwą będzie rzeczą rozszerzyć znaczenie „*Gynecologii*”, aby w stosunku do kobiety miała tę samą obustronną doniosłość, jaką ma wyraz antropologia w stosunku do ludzkości”.

Jeśli sam tytuł tego dzieła jest już rzeczą rażącą, usprawiedliwianie się autorki razi stokroć więcej, bo takie konwencyonalne użycie wyrazu nie zmienia by najmniej jego znaczenia, a oskarża panią Audouard, o próżność i brak logiki, co od razu na wstępie źle usposabia czytelnika. Wszakże, przyznać należy, że pomimo symptomatów próżności i niezręcznego wstępu, dziełko to nie jest bez zalet i mieści w sobie nie tylko wiele trafnych spostrzeżeń i ciekawych cytat, ale także wiele prawd moralnych. Aby ocenić należycie to dzieło, potrzeba koniecznie przejrzeć akt zaskarżenia wystosowany przez Dumasa przeciw ko-

bietom; ten akt wywołał odpowiedź. Dumas stanął w tej sprawie w roli prokuratora, a pani Audouard wystąpiła w roli adwokata kobiet.

Fulminant Dumasa ma dwie strony — prokurator odmawia najprzód kobiecie równości moralnej, a w końcu oskarża ją, że stała się plagą społeczną zachodu. Co do pierwszego punktu, pomimo pewnej płataniny na początku, argumenta autorki są w końcu zwycięskie, ale drugi punkt, ten właśnie na którym opiera się zaskarżenie, został bez odpowiedzi. Kobieca miłość własna przeszkodziła pani Audouard uznać słusność zarzutu Dumasa — dzieło więc jej jest pracą niedokończoną. Ale główną jego wadą jest wodnistosc i brak zupełny syntetycznej wartości. Miała jednak autorka szerokie pole do walki i doskonałą pozycję strategiczną; szkoda, że nie potrafiła z tego skorzystać.

Z całego toku tego dzieła widać, że bodźcem autorki jest obrażona miłość własna kobieca i chęć popisania się z erudycją, a nie sama prawda. Indyje, Egipt, Grecja, Rzym. Wszystkie mitologie i wszystkie religie — Sokratesy Zenony. Cezary Aleksandry — Lukrecye, Aspazye, Kornelie, Fryny i Kleopatry — słowem cały świat starożytny i nowoczesny z Aleksandrem Dumasem na końcu defilują w tym procesie. *Adwokat* nie zapomniał o żadnym świadku; dał wszystko co można było dać w jednym tomie czytelnikom z dziedziny historii i religii, ale nie wyciągnął z tego żadnej praktycznej konkluzji nie wskazał żadnego praktycznego lekarstwa na tego społecznego raka, którego istnienie tak rozgłośnie prokurator literacki Dumas obwieścił. Że było wiele przesady w jego zaskarżeniu i że nie widział belki w swoim oku, to pewna. Ale przyznać należy, że było także wiele prawd w jego zaskarżeniu i że widział doskonale dźbło w oku bliźniego. Nie godziło się więc kobiecemu adwokatowi pomijać tych rzeczy — bo w kwestyach tego rodzaju nie o erudycję rzecz idzie, ale o prawdę. Wiadomo wszystkim, że Dumas jest człowiekiem światłym i uczonym, mógł on łatwiej niż ktokolwiek zaimponować cytatai historycznymi — a jednak w pamfletach jego które wywołały książkę niema ani jednego śladu erudycji — to co powiedział, źle czy dobrze, nie wyciągnął z książki ale z ducha i z głowy. *Adwokat* kobiecy powinien go być w tem naśladować — pomimo jednak przegranej, pomimo niedostatków tego dzieła, jest ono zawsze szacowną i pożyteczną pracą.

Z początkiem roku wyszedł tu nowy romans pana Alfreda Assollant, pod tytułem: „*Rachel — histoire joyeuse*”. Nie godzi mi się go pominąć, bo należy on do tych bardzo dziś rzadkich francuskich romanów, których tematem nie jest ani przeniewierzenie się małżeńskie, ani żadna z tych fantazji, gdzie wyuzdana wyobraźnia bawi się w cyniczną gimnastykę. Romans stanowi zabawne i nauczające malowidło obyczajowe. Bohaterka tego romansu jest młoda dziewczyna z trupy aktorów podróżyjących po Francji.

Dawny prokurator rządowy za Ludwika Filipa, dziś radca sądu apelacyjnego, któremu ten urząd dożywni daje zupełną niezależność od osób, opowiada przygody swojej urzędowej karyery, do której wmieszana jest owa dziewczyna. Jest to dowcipna i prawdziwa krytyka kategorii osób urzędowych i życia artystów. Ex-prokurator zaczyna opowiadanie swoje od głębokiej i bardzo praktycznej uwagi, którą przytaczam tu, bo da ona najlepsze wyobrażenie o duchu tej książki i może podać nie jednemu piszącemu myśl do nowego utworu w tym rodzaju.

„Wspomnienie tych chwil mówi „*prokurator*” w których dotknąłem tak blisko wszystkich szarów młodości, zostanie zawsze obecnem mojej pamięci i spodziewam się że ochroni mnie od twardości serca i od pychy, o którą oskarżani są ogólnie wszyscy ci, co z obowiązku swojego urzędu, tak samo jak ja trzymają w ręku honor i życie ludzi. Gdyby każdy przed wyrzeczeniem sądu o bliźnim zaczynał od osądzenia wprzód siebie samego, któżby natenczas odważył się przyzwidzać suknię urzędową i potępiać swoich braci?”

Odszkicowanie typu prokuratora jest mistrzowskiem. Kontrast jaki zachodzi między stanem jego duszy gdzie kipi namietność, a człowiekiem zewnętrznym, którego obowiązuje urząd do utrzymania należącego *decorum*, odcieniony w wielkim talentem, z wielką znajomością serca ludzkiego. [Życie koczujących artystów również doskonale scharakteryzowane. Styl

książki naturalny, łatwy i zaostrożony dowcipem. Dziełko to wyszło także w księgarni „Dentu“.

Nowa komedia Dumasa „Monsieur Alphonse“ o której nadmieniałem w poprzedniej korespondencji, ma dotąd wielkie powodzenie i zasługuje na to, bo jest dobrze napisana. Szkoda tylko, że system, jakiego trzyma się Dumas, nie pozwala mu wznieść się do wyższych sfer—traci wiele na tem publiczność traci i autor; powiedział on sobie: „teatr nie jest dla panieli, ani dla dzieci, ale jest szkołą dla osób dojrziałych obojczy płci“ — formułka ta zwichnęła autorowi skrzydła — nie próbuje on już nawet wyższego lotu, ale wleczkę się po paryżkich śmieciach i zbiera tam wzory do swoich typów, wzięte z natury, to prawda, ale tak wstrętne i tak podejrzanych obyczajów, że często sprawozdanie o jego sztukach staje się niepodobnem. Jestem w tym przypadku co do jego Alfonsa doskonała to komedia, ale osnuta na faktach, które starannie nawet ogazowane nie mogą się mieścić w „Bluszczu“.

Grają także w teatrze de la porte St. Martin, dramat Dumasa w pięciu aktach: „Henryk III i jego dwór“. Ograniczam się na wzmiankę tylko, bo sztuka nie odznacza się żadną wybitną cechą.

Sardou napisał nową komedię w 4-ach aktach p. t. „les Merveilleuses“, którą grają w teatrze Rozmaitości (Variétés). Ta razą autor Rabagasa wywłócił na scenę dyrektoryat. Ta maskarada po dniach krwawych terroryzmu była rzeczą kuszącą dla tego fabrykanta dramatycznego i przypadała jak raz do jego miary. Spłodził teraz sztukę w której oryginalność ubiorów owocnych zastępuje ideę, a cynizm trzyma miejsce dowcipu. Wszakże istotnym magnesem przyciągającym publiczność nie są ekscentryczne ubiory, ale osoby płci żeńskiej wcale nie ubrane i wyuzdany cynizm mowy. O Bonapartym który w tej samej epoce dokazywał cudów waleczności we Włoszech, niema ani wzmianki—a bohaterem komedii, jeśli godzi się dać jej tę nazwę, jest dezerter wojskowy. Zapomniałem jeszcze o jednym rysie charakteryzującym autora: agent policyjny śpiewa sobie wszeteczną piosenkę na nutę marsylianki.

T. R.

RUCH MUZYCZNY,

Siostry Laura i Matylda Hermann — Egzamin w klasie skrzypcowej konserwatorium muzycznego. — Koncerta p. Joachima.

O cudownych dzieciach może się już iznudzilo czytać publiczności—temat to zużyty, jednak i my dziś do niego ośmielamy się powrócić, bo... warto. Widząc jak rozgłos młodocianych talentów zawodzi, jak się zazwyczaj na tem kończy, że każdy powie: „grają ładnie jak na dzieci“, byłem także jakiś czas Tomaszem niewiernym, wcale nie kwapiłem się z posłyszeniem dwóch siostr skrzypicielek na dwóch pierwszych ich wystąpieniach w Warszawie. Dopiero rozgłos jaki pódniosły wszystkie pisma, gorące świadectwa ludzi kompetentnych stopiły mą obojętność, i wkrótce przerobiły ją na zachwyt najzupełniejszy.

Siostry Hermann są uczennicami profesora Alard'a z Paryżkiego konserwatorium, gdzie podobno dostały już pierwsze nagrody. Szkoła ich wyborna, mechanizm pięknie rozwinięty, zgodność niesłychana, skoro doskonale mogą wykonywać unissono koncert Vieuxtempa—wszankie w tem wszystkim nie niema jeszcze tak nadzwyczajnego. W starszej z dwóch siostr Laurze, widzimy talent niepospolity, rokujący najświetniejsze widoki, ale wyznajemy szczerze, nie byłibyśmy tak skwapliwie powrócili drugi i trzeci raz na koncert dla niej samej tylko.

Jest ona utalentowaną dzieckiem, ale—dzieckiem tylko. Natomiast 10 letnia (czy 9½ letnia, jak chcą afisze) jej siostrzyczka bynajmniej dzieckiem nie jest. W tej drobnej postaci pojawia się już samodzielność artystyczna; ton pełny, śmiały, pociąg smyczka szeroki, wyraz w grze na przemian rzewny i dowcipny, techniczne wyrobienie zupełnie pewne i swobodne, czynią z niej prawdziwą już artystkę. Jedyna okoliczność, po której dziecko poznasz, to wybór sztuk, po większej części lekkiej treści,—naj-

więcej przerabian z oper i t. d., ale sposób ich oddania jest pełen skończonej artystycznej prawdy. To istotnie zadziwia—bo czyż pobobna przypuścić, aby to dziecko znało już dokładnie gammę namiętności ludzkich, od wesołego sarkazmu aż do ponurej rozpacz—a przecież najprzeróżniejsze te uczucia słyszysz oddane najwyraźniej w takiej np. fantazyi z Rigoletto. Mimowoli zapytujesz siebie, czemu się to dzieje?.. I tu już rozum utonąć musi w bezmiarze jakimś, tu już sam nie wiesz, jaka religia, jaka filozofia, da twej duszy zadowalniającą odpowiedź. Gdzie jest ten szlak tajemniczy, którym wielkie idee płyną do młodej duszy dziecka — gdzie ten promień, po którym spływają doń formy piękna, których nadaremno szuka niejedyn mistrz wytrawny? Odpowiedź: *genuś*—ależ to rzeczy nie tłumaczy; to nam tylko dowodzi, że ocieramy się o rzeczy cudowne, a ich znaczenia nie rozumiemy, a przynajmniej potrzebujemy nowego bodźca jakiegoś, ażeby na nie zwrócić uwagę. Opisują nam rzeczy nadzwyczajne o młodości Mozarta—przyjmujemy to jak fakt naturalny—aż tu zdarza się nam widzieć rzecz nierównie mniej ciekawą, ale że ona się nam w oczach dzieje, wpadamy w osłupienie i dopiero spostrzegamy, jak byliśmy zarozumiali, sądząc żeśmy odgadli naturę *genuś*u. Autorowie systematów filozoficznych, które wszystko niby to tłumaczają—powinnyby przedewszystkiem dać właściwie zadawalniającą jakąś odpowiedź na te i tym podobne fenomena duchowe, które choć nie zbyt często się zdarzają, przecież dość są znane, aby się gwałtownie analizy domagać. Jeżeli nie ma idei *wrodzonych*, to czyż *wychowanie* samo stworzyć może *genuś* taki? a wszakże tysiące i miliony wychowują się tak samo... zkadże to dziecko *wie* tyle, czy *zgaduje* nareszcie, choć w gruncie to jest to samo, bo jeśli dobrze zgaduje, to znaczy że *wie* na mocy jakiejś cudownej siły, leżącej we własnym duchu—a może to *mózg* tak działa, sam przez się, ot tak sobie procesem chemicznym? Wszak wiadomo że „baz fosforu, niema myśli?..“

Nadaremnie, zdaniem mojem, rzucać takie pytania, jeśli je postawiłem, to nie w myśli ich rozwiązywania, ale jedynie aby wskazać, jak ostrożni być powinniśmy w chwytaniu nowych filozoficznych systematów, i jak skromni w pojęciach o tem, co rozum nasz zdobył lub zdobyć może. Tyle rzeczy jest i będzie długo, może zawsze dla nas zagadką—nemiejmy się na te rzeczy *patrzeć* — nie zamykajmy na nie oczu, bo ich to właśnie widok może się dla nas stać zbawczym; owe tajemnicze fenomena uratują nas może od tak dziś rozwielenionego bałwochwalstwa rozumu—za czem idzie nietolerancja i ostatecznie obskurantyzm.

Byliśmy zaproszeni na wysłuchanie egzaminu uczniów klass skrzypcowych, który się odbył w naszym gmachu konserwatorium muzycznego. Z przyjemnością zaznaczamy usiłowania szczerze i energiczne na drodze postępu—że jednak dla młodych uczniów lepsza jest szczerza i sumienna rada od samych tylko pochwał, powiem przeto otwarcie, że ogólne wrażenie jakie egzamin na mnie zrobił, był to brak miękkości, brak cieniowania—gra młodych uczniów wydała mi się zanadto *zamaszystą*—a to czasem w trywialność mogłoby się zamienić. Toa silny jest niezaprzeczenie wielką zaletą, ciągle jednak jego użycie staje się wadą — tem bardziej że ton ów rzadko jest okrągły i gładki—najczęściej czuć w nim ostry przeisk smyczki. Przy dalszej równie sumiennej pracy i przy umiejętnej pomocy p. Górskiego—który ma zastępować p. Kątskiego w czasie jego nieobecności—te wady mogą zniknąć i wtenczas konserwatorium da nam kilka sympatycznych talentów, których zarody już są dziś widoczne.

Z wielkimi mistrzami dzieje się nieraz to samo, co z arcydziełami sztuki plastycznej, szczególniejszej greckiej, nie ośmielamy one na pierwszy rzut oka, aż dopiero gdy się rozpatrzmy w szczegółach, gdy zbadaemy ich cudowną harmonią, gdy się wpatrzmy w ich styl, jesteśmy oczarowani i nie możemy oczu oderwać przez długie godziny. Niejeden zapewne z obecnych na pierwszym koncercie Joachima, z początku przynajmniej doznał wrażenia podobnego, i dziwił się zkad urosła olbrzymia sława tego arty-

sty, którego gra przedstawia się zrazu tak skromnie, dla niektórych za zimno nawet—nie odurza olbrzymią potęgą tonu, nie olśniewa mechanicznymi trudnościami, nie oddziaływa tak silnie na nerwy i imaginację, jak gra innych mistrzów. Ale słuchajmy tylko cierpliwie—powoli, powoli zacznie nam się horyzont rozjaśniać—powoli przekonamy się, że to cośmy chłodem nazwali, było tylko szlachetnem panowaniem nad sobą, unikaniem krzykliwej trywialności — spostrzeczemy że nie artysta grzeszy brakiem wyrazistości w grze, ale my grzeszymy zepsuciem smaku, wskutek którego grubszych wymagamy efektów; przypomnimy sobie wtedy może, że w pewnej chwili naszego artystycznego żywota, zaświecił nam w duszy jakiś ideał koronkowej, prawdziwie wykwintnej doskonałości — że ten ideał mimo wszystkich spotykanych u siebie i u drugich niedostatków tkwi jednak gdzieś w duszy, tęskni za światłem Bóżem, i doznamy radośnego podziwu, gdy obaczmy że tu w widomej formie mamy ten ideał wcielony i możemy go jak rzecz obcą oglądać, sądzić i zawyrokować czy on jest wistocie najwyższym sztuki ideałem?

Tak jest niezawodnie, ta idealna delikatność o jakiej marzył Szopen, i której ślady widzimy w grze rzadkich uczniów jego—ta szlachetna powściągliwość w namiętności, ta dziewicza skromność w oddaniu najsilniejszych uczuć, ten boski czar poezji rozlany po całym utworze, przenikający sobą każdy szczegół—jak blask lampy alabastrowej łagodzący wszystkie kontury—to wszystko odnajdziesz w grze Joachima, a raczej w szkole Joachima, bo jako ucznia tej szkoły uważać musimy towarzyszącego mu fortepianistę p. Bartha, który tak cudownie umie mu akompaniować i dostroić się z nim razem do harmonii całości. Czy to już wszystko co sztuka nam dać może? czyż po za tem nic już uima? Zapewne że tak nie jest, bo sztuka jak wieczność jest głęboka i niewyczerpana—ale słuchając gry takiej, czujesz że ci do duszy wpływa coś boskiego — czujesz jakby nieskończoność zamkniętą w skończoności—rozprężliwym gaz ujęty w kryształowe naczynie—chwytnaszym tajemniczą muzykę chórów niebieskich.

Po co, pod tem świeżem pozostając wrażeniem, wdawać się w szczegóły? Kiedyś ochłonałszy nieco możemy to uczynić—czy na tem co zyska czytelnik? Nie wiem. Dla nas cośmy zwykłe pierwsze allegro Sonaty Kreutzerowskiej słyszeli wykonane z pewną szaloną werwą i silnem akcentowaniem, ten posagowy spokój pp. Joachima i Bartha był zadziwiający—dopiero po odbyciu stosownych studyów, po przetrwaniu w sobie tych nowych żywiołów, które nam do duszy napłynęły, będziemy mogli wiedzieć na co się ostatecznie nasz umysł zdecyduje.—Pisząc to nie popełniamy fanfaronady—sądzę że każdy kto takie ogląda arcydzieło, jeśli chce sumiennie o niem mówić, poczekać powinien—jeżeli go zaś do dorywczego sądu zmuszają obowiązki życia publicznego, niechże ten sąd nie będzie jeszcze ostatecznym wyrokiem, który czas dopiero oglądać może. Waryacje z tejże Sonaty bardziej już dla nas były zrozumiałe — Sonata Tartinięgo przemówiła nam wprost do duszy—ona też właściwie skruszyła lody między artystą i publicznością—ona już nam wskazała, że mamy do czynienia nie ze skromnym tylko i zwyczajnym wirtuszem, ale z poetą który ma osobne czarodziejskie okulary, i temi na sztukę spogląda. Cóż powiedzieć znów o werwie jaka widniała w tańcach węgierskich, w koncercie Spohra, o cudownem, idealnem wycieniowaniu solowych Bacha kawałków, etel... cóż powiedzieć, jeno że to jest czarownik co wszystkie metale przetapia na złoto, a wszystkie węgle na brylanty.

Klasyk to jakich mało—mistrz w odcieniach, w nadaniu charakterystyki poetycznej utworom które inni przedstawiać umiują jako sucha studia tylko—też zalety, lubo z mniejszą może samodzielnością jaśnieją i w grze p. Bartha, fortepianisty. Wykonanie olbrzymio-trudnych wariacji Brahmsa było punktem kulminacyjnym wielkiej wprawy technicznej i talentu duchowego tego artysty—mniej szczęśliwy w Szopenie, którego nokturnowi nie umiał nadać szerokości, ani polonezowi buty i powagi historycznej—w dziełach niemieckiej szkoły okazał się mistrzem. Do rzędu najszcześniejszych *kreacji* policzymy także i etudę Henselta (Danklied nach Sturm) wykonaną cudownie, bo i biegle i nader poetycznie.

Dawno Warszawa nie miała takich koncertów jak

dwa o których piszemy — od czasów Tausiga i Rubinsteinja nie pamiętamy takiego zapału publiczności, tak ogólnego zachwytu. Cieszy nas, że artyści wywozili z tamtędy wspomnienie i opowiedzą w Berlinie może, że mieszkańcy Warszawy nie mają cenić szlachetne objawy piękna, umieją odczuć poezją i dostrzec się do kamertonu, będącego probierzem najdelikatniejszych uczuć, podnoszących na wyżyny dla niewielu tylko dostępne.

Jan Kleczyński.

KORESPONDENCA ZAGRANICZNA.

(Dokończenie).

Dziwnie to może z Galicji zachęcać Warszawę do podjęcia wydawnictwa, kiedy wiadomo, że nasze własne wydawnictwa nie wielkiem cieszą się powodzeniem. Ale właśnie powiedzieć tego nie można w ogólności. Pisma peryodyczne warszawskie liczą tu bardzo wielu abonentów, może nie na tysiące, ale przynajmniej do jednego tysiąca nie trudno dojść za pomocą pisma. *Bluszcz*, *Kłosy*, *Tygodnik* częściej się spotykają od innych i co rok zyskują szersze koła czytelników. Nie można tego powiedzieć o pismach naukowych i może gdyby u nas beletrystyka więcej kwitnęła, również byłyby nasze pisma poczytniejsze. Prawda, że mamy w mieście bardzo słabe siły beletrystyczne. Powieści oryginalne są w Galicji nadzwyczajną rzadkością, Warszawa robi nam konkurencję, zabiera wszystkie lepsze talenty, nie tylko powieściowe, ale w ogóle literackie. Tu ogłaszają prace i monografie naukowe, szczególnie obszerniejsze, a że te niezbyt popłacają, potrzeba zatem szukać nieraz przez długi czas nakładcy i ten jeszcze prawdziwą spełnia ofiarę. W ostatnich czasach pojawiło się tu kilka rozpraw prawnopolitycznych, drukowanych poprzednio w pismach peryodycznych. Profesor Oczapowski rozbraja kwestję: „wpływu klimatu na państwo“, zestawiając poglądy największych myślicieli na klimat i jego oddziaływanie na człowieka. Rozprawka ta jest ściśle naukową, podobnie jak rozprawka: „o wpływie kredytu na stosunki społeczne“, napisana przez d-ra Bochenka, docenta uniwersytetu, będąca częścią obszerniej monografii o kredycie w ogólności, jaką autor przygotowuje do druku. Inny charakter ma rozprawka docenta Kasparka: „o usiłowaniach około reformy prawa międzynarodowego“. Jest to raczej sprawozdanie z założenia instytutu prawa narodów w Gandawie i z kongresu prawników w Belgii, poprzedzone pobieżnym rzutem oka na stan dotychczasowy niektórych pytań międzynarodowych. Układ tej pracy nie jest ściśle naukowym, a celem jej obudzenie zajęcia do nauki prawa narodów, do rozbiórki pytań z nim związanych. To też autor stawia w końcu wnioski, aby krakowska akademja umiejętności utworzyła komisję do zbierania dawnych i nowych materiałów tej gałęzi nauki i do wydawania pism w tym rodzaju. Pomysł bardzo ładny, ale staje mu na zawadzie zbyt szczupłe u nas grono pracowników. Znamy zaledwie czterech ludzi, co piszą o prawie narodów, a z tych, dwóch tylko mieszka w Krakowie i oprócz autora wniosku, z trudnością będzie można znaleźć kogo, coby swój czas mógł poświęcać na badania źródłowe, zupełnie jeszcze u nas nieznane. Nie wiemy zatem, czy wykonanie myśli pana Kasparka nie napotka na nieprzełamane trudności.

Rozprawka Bronisława Łozińskiego p. t. „Opinia publiczna“, jest także rodzajem studium nad objawami tej potęgi i nad sposobami, w jaki ona swój byt wyraża. Praca ta miała, zdaje się, na celu wykazać wagę i znaczenie opinii publicznej, stanąć w obronie konstytucyjnych urządzeń wobec zniechęcenia, jakie nowoczesny konstytucjonalizm rozwinął pomiędzy największymi niegdyś adeptami tej szkoły. Autor bardzo wprawnym piórem broni opinii publicznej, ale nie stawia zasad, według których miałoby się oceniać jej wartość, brak tam definicji, że opinia publiczna, błędna czy prawdziwa, musi się opierać

na poczuciu moralnem, na pojęciu sprawiedliwości, bez którego nie potrafi stać się żadna potęga moralna. Bez tych przymiotów opinia publiczna jest tylko zdaniem większości, a więc może mieć wartość siły, jest objawem usposobienia i stopnia moralności pewnego kraju; ale nie posiada tych przymiotów, na których opiera się moralna siła ludzkości, które się wyrażają w przysłowiu: *vox populi, vox Dei*. Autor również nie wskazał przyczyn upadku opinii publicznej i środków jej podniesienia. Po części, aczkolwiek ze stanowiska bieżącej chwili, dopełnił tego zadania Stanisław Tarnowski w artykule p. t.: „Królowa opinia“. Jest to jeden z tych artykułów, które śmiało nazwać można czynami, a nie słowami. Autor bada przyczyny upadku opinii w Galicji, rozbraja liczne objawy braku opinii publicznej i wypowiada przytem społeczeństwu nader ostre i cierpkie prawdy, jak przez zawiść wzajemną, przez schlebienie potwarzom, przez brak odwagi cywilnej, przez wyszydzenie moralności, wyparło się ono wszelkich zasad, jak poniżyło ową królową, która ma potęgę i znaczenie nie tylko wówczas, kiedy moralną kieruje się siłą. Społeczeństwu zatem przypisuje te groźne objawy skażenia dziennikarstwa, o którym wyłącznie pisze, a które istotnie przerażające we Lwowie przybrało rozmiary. Artykuł ten napisany z młodzieńczą werwą, trochę może zbyt nacechowany namiętnością, kończy autor wezwaniem, aby utworzyć rodzaj stowarzyszenia „porządných ludzi“, którzyby bez względu na osobiste przekonania, starali się podnieść z upadku moralnego społeczeństwo. Czegoś podobnego domagały się pisma lwowskie, głosząc niedawno, że się tak zabryzgały błotem, iż same nie są w stanie wyleźć z kałuży. Ale cóż pomódz może dziennikarstwu wpływ obcy, skoro do takiego przychodzi wyznania?

W każdym razie śmiało wypowiedzenie prawdy, jest w tym wypadku ważnym czynnikiem do zwrotu, jest naprowadzeniem na lepszą drogę. Nie chcę tu opisywać powodów zgorszenia publicznego, jakie dziennikarstwo lwowskie wywołało, sprawy te ostatecznie nie zdołają się wyjaśnić nawet przed krakowskimi sądami, ponieważ tam dotknięci będą dwaj lub trzej redaktorowie, ale opinia publiczna musi w czambuł potępić wszelką nieuczciwość, prywatę i niekczemność. Są to zaś wyrazy raczej zbyt słabe, aniżeli za silne, wobec tego potwornego skandalu, jaki się od kilku miesięcy rozgrywa we Lwowie.

Pod wpływem tych wydarzeń zapewne, powstała tu myśl wydawnictwa, które miałooby na celu zgromadzić ludzi wszelkich przekonań z jedynym obowiązkiem rozbiórki pytań ze stanowiska umiarkowanego i umiarkowanego, oraz podpisywania swych prac rzeczywistym imieniem i nazwiskiem autorów, którzyby brali na siebie całkowitą odpowiedzialność za swe utwory. Myśl ta dopiero jest w zawiązku, a wydawnictwo ma się składać z szeregu broszur rozbiegających różnorodnie kwestye bieżące. Wydawnictwo podobne istotnie mogłoby przyczynić się do wyjaśnienia wielu pytań i podnieść opinię publiczną, której brak tak obecnie dotkliwie odczuwać się daje we wszystkich społecznych stosunkach.

W teatrze po długiej przerwie przedstawiono prawdziwą nowość, oryginalny polski dramat „Lilia Wawelu“, napisany przez Juliana z Poradowa autora, a raczej autorkę „Przeora Paulinów“. Lilia Wawelu czyli Królowa Jadwiga pod wielu względami przewyższa pierwszy dramat autorki. Przez Paulinów był szeregiem obrazów związanych ze sobą przypadkowo przez jedną miejscę, tutaj daleko więcej jest łączności w akcji dramatycznej. W pierwszym dramacie zawiązek intrygi przerywał się w akcie drugim, tutaj właściwej intrygi niema, ale przez cały ciąg sztuki utrzymuje się wątek historyczny dramatycznego położenia i jednosc akcji zapewnia. Historia Królowej Jadwigi dobrze znana, autorka nie chciała ściśle trzymać się prawdy dziejowej, i czasami niewiadomo z jakiego powodu odstępować od niej. Komturu Jungingen każe ona kochać się w Jadwidze, a nie wyzyskuje dostatecznie owej walki wewnętrznej pomiędzy obowiązkami mnicha, posła zakonu i uczuciami serca. Arcyksiążę austriacki nie jest w dramacie awanturnikiem, jakim był, ale przeciwnie miłym chłopięciem, bez tego zaś odstępstwa od historii możnaby się obejść, chociaż dramat musiałby inny przybrać charakter. Najgorzej wystawiony Jagiełło. Wnuk Gedymina jest rozmarzonym rycerzem średnich wieków, tęsknią-

cym za nieznaną kochanką, której miniatura zachwyliła go do tego stopnia, że jakoby zapomina o wszystkim. Jagiełło jest też wprost śmieszną figurą na scenie; ani razu nie powiada nic uderzającego, a nawet ostatnie słowa jego i dramatu w odpowiedzi Jadwidze są tak blade, że trudno pojąć, jak podobny niedołęga może dokonać wielkich rzeczy zaprowadzenia chrześcijaństwa i cywilizacji zachodniej w swej obszernej krainie. Jagiełło, który słowem żadnem nie zdradza idei, co w kilka lat potem daje mu ostateczną przewagę nad Krzyżakami, Jagiełło, w którym nie widać przyszłego zwycięzcy z pod Grünwaldu, przestaje być figurą historyczną i jest najslabszą stroną sztuki. Pomimo tych usterek dramat jest wielkiej wartości. Zwycięstwo dobrowolne kobiety nad sobą, nad swem uczuciem, dla dobra powszechnego, następuje samo przez się wiele scen efektownych, wiele myśli wyższych; ponieważ zaś autorka włada bardzo pięknie językiem, nie wpada w pospolitość, ale przeciwnie dosadnie i żywo wyraża się, przeto umie utrzymać widza na podniosłym stanowisku. Charakterystycznie dobrze przeprowadzonych niema tu wcale; jednakże cztery figury są jasno odrysowane. Jadwiga pełna uczucia, najlepszych chęci, niemal przez intuicję odgadująca wysokość swego zadania, przytem żywa, namiętna i wrażliwa, a nie zapominająca ani o swej godności, ani o koronie, jest właśnie najbardziej zbliżoną do prawdy historycznej. Jest to charakter wielki przez zacność, nie przez głębokość. Dymitr z Goraja podobnie jest mężem stanu raczej przez uczucie, niżeli przez bystrość poglądu. W ogóle ta strona uczuciowa przeważa bardzo w dramacie i trochę poświęcono dla niej za wiele. Nie ma nigdzie prawdziwie politycznych myśli, prawdziwie silnej głowy. Nawet komtur zakonu walczy z uczuciem i przezycięcia swe serce. Wprawdzie jemu zawdzięcza dramat najpiękniejszą scenę, kiedy wyznając swą miłość Jadwidze, oplątuje ją siecią intrygi. Bardzo słusznie wprowadziła autorka owego komtura i dała mu ważną rolę; dramat jednak traci ogromnie na wartości, przez postawienie Jagiełły na ostatnim planie, kiedy go właśnie należało uczynić główną-działającą figurą. Jadwiga, Jagiełło i Krzyżak oto naturalne figury dramatu, około których skupiać się winna cała akcja tej chwili, nawet wbrew faktom istotnym, byle duch ogólny położenia politycznego był zachowanym.

Zdarzył tu się przed kilkoma dniami straszny wypadek na kolei, który ogromne wywarł wrażenie. Ofiarą jego padła pani Emilia Wielogłowska, żona właściciela Michałowic, oraz p. Jakowlew urzędnik komory rosyjskiej tamże. Państwo Wielogłowscy wracali do siebie wieczorem, a ponieważ wraz z niemi wyjeżdżał pan Jakowlew, zaprosili go zatem do swego powozu. Pan Wielogłowski sam powoził, a w chwili kiedy przebywali szyny kolei przecinającej szosę Michałowiecką tuż za rogatką krakowską, wpadło na nich kilka przesuwanych wagonów. Uderzenie było tak nieszczęśliwe, że p. Wielogłowska prawie na miejscu wyzionęła ducha, a p. Jakowlew mając dwukrotnie złamany obojczyk i rany na twarzy, jeszcze nie wyszedł z niebezpieczeństwa. Pan Wielogłowski wprawdzie mocno stłuczony, ale ponieważ nie dostał się pod wagony, stosunkowo mało ucierpiał fizycznie. Pani Wielogłowska osierociła troje drobnych dzieci, była to kobieta bardzo młoda, liczyła zaledwie lat 22. Wrażenie ten wypadek wywarł ogromne, wygląda to bowiem na formalne morderstwo, kiedy komu otwierają zastawę do przejazdu i następnie trącą wagonami. Pan Jakowlew jest także młodym człowiekiem, synem bogatego kupca w Petersburgu. Sprawa poszła na drogę sądowo-karną, zapewne jednak kolej i na drodze cywilnej będzie musiała wynagrodzić szkody. Przy tej sposobności zdaje się, że się odkryją znowu nadużycia służbowe, utrzymują bowiem, że strażników okazało się o połowę mniej niż być powinno. Rzecz ta nie jest wyswieconą, ale publiczność chętnie daje jej ucha, gdyż w ostatnich czasach wykryto tak kolosalne oszustwa na kolejach austriackich, przekupstwa i kradzieże tak się tu rozpowszechniły, że rząd musi na wielu liniach przeprowadzać dochodzenia sądowe i teraz niema nadużycia o kolei przytoczonego, któremu by nie dano natychmiast wrzawy. Rzeczywiście nasi królowie kolejowi, a za nimi i *minores gentium* służby pozwalali sobie zanadto, i będzie prawdziwą zasługą ministra handlu Banhansa

jeśli położy tamę rozbojowi urządzonemu pod formą lagalną. Kosztować to będzie niemało trudu, ponieważ nieszczęściem bardzo wiele osób i to nawet wysoko urodzonych i położonych zaszargało swe imię i stanowisko w niejednej podejrzaney sprawie.

SŁÓWKO

O STANIE OBECNYM SPRAWY KOBIECI W NIEMCZECH.

Niemcy wraz z Austryą i Ameryką należą obecnie do tych krajów, w których kwestya kobieca z wielu rozbieżną bywa względów. W których wiele się pisze dzieł, gwoli rozwiązaniu jej po teorii i praktyce. W tym kierunku działa najkonsekwentniej *powszechne niemieckie stowarzyszenie kobiet* ¹⁾, z głównym siedziskiem w Lipsku, posiadające rozgałęzienia po wszystkich niemal większych miastach niemieckich, jak w Dreźnie, Kasel, Sztutgardzie i w wielu pomniejszych miejscowościach. Stowarzyszenie to, żeby działalność jego jednym określić wyrazem—*agituje* to jest rozszerza w coraz większych kółkach, podstawowe idee sprawy kobiecej. Gdzie idee te się przyjęły, tam stają się one bodźcem, pobudzającym teorię do okazania swej praktycznej działalności, w staraniu się o podniesienie ukształcenia kobiet, podniesienia ich uzdolnienia praktycznego i zakresu pracy niewieściej. Na czele „Powszechnego niemieckiego stowarzyszenia kobiet,” stoi znana ze swej energii i konsekwencji charakteru, autorka, odznaczająca się zdrową świadomością celów ruchu kobiecego p. *Ludwika Otto Peters* z Lipska. Obok niej działa przełożona instytutu p. *Augusta Schmidt*, wysoce uzdolniona kobieta, z którą, jako oratorką nikt, szczególnie w Niemczech, równać się nie może. Gdy mówi, to dla bronionej przez się sprawy, ujmuje sobie serca wszystkich bez wyjątku, tak mężczyźni jak i kobiety. Do zarządu lipskiego należy jeszcze doktorowa *Goldschmidt*, której działalność skierowaną jest bardziej do osiągnięcia rezultatów praktycznych, aniżeli do walki za idee. Oprócz pomienionych dam, należy wymienić jeszcze jako znakomitsze orędowniczki sprawy kobiecej, literatki: pannę *Cohn* w Kassel, panię *Beddey* w Sztutgardzie, *Schönwasser* w Düsseldorfie, *Gutbier* w Gocie i inne. Liczba mężczyzn w stowarzyszeniu nie jest zbyt wielką, gdyż jego myślą przewodnią jest działać wszystko i wszędzie, o ile możliwości za pośrednictwem kobiet, mężczyzn przeto odpowiednich uważa się dla sprawy za pożądanymi, lecz nie dopuszcza się ich do żadnego wpływu na kierunek działań stowarzyszenia. W ostatnich czasach udział w dążnościach stowarzyszenia przyjął tylko profesor *Wendt* w Lipsku. Wyżej wzmiankowana działalność ku rozszerzeniu celów stowarzyszenia, uskutecznia się głównie za pośrednictwem zgromadzeń ogólnych, odbywanych corocznie naprzemiennie w jednym z większych miast, oraz za pomocą pisma „*Neue Bahnen*,” redagowanego przez p. *Otto-Peters* i pannę *Schmidt*. Praktyczne urzeczywistnienie swych idei, panie te starają się znaleźć w zakładaniu szkół (*Fortbildungsschulen*) dla mniej zamożnych dziewcząt i stowarzyszeń ku kształceniu kobiet. Wiele nadto filij stowarzyszenia posiada szkoły rzemieślnicze i przemysłowe dla dziewcząt, seminaria dla dozorczyń ogródków dziecińczych i t. p.

Tym sposobem „powszechne niemieckie stowarzyszenie kobiet” przedstawia idealną stronę kwestyi

kobiecej; stronę zaś jej *realną* mają głównie na celu stowarzyszenia zarobkowe kobiet, z głównym siedziskiem w Berlinie. Pokrewne im co do celów stowarzyszenia znajdują się też w Darmstadzie, Wrocławiu, Hamburgu i wielu innych miejscowościach. Na czele tych instytucyj znajdują się po części bardzo wyseko postawione kobiety, jak na przykład w Berlinie następczyni tronu Wiktorya, w Damsztadzie księżna Alicya, która to okoliczność niezmiernie ułatwia działania wspomnianych stowarzyszeń. Wiele zasług dla stowarzyszeń tych położyły p. *Morgenstern* i literatka p. *Jenny Hirsch* w Berlinie, p. *Ludwika Büchner* w Kaselu, p. *Goldschmidt* w Hamburgu i inne. Stowarzyszenia zarobkowe nie wyłączają mężczyzn od współdziałania, lecz owszem są oni głównymi kierownikami na publicznych zgromadzeniach ogólnych i w ważniejszych przedsięwzięciach. Oni więc mają główną nad temi przedsięwzięciami kontrolę, i mogą je zawsze tamować, o ile te nie stosują się po ich myśli. Z tego powodu liczba uczestników męskich jest niemałą. Wymieniamy między innymi profesorów *Dra v. Holtzendorfa* i *Emmingbauta* w Berlinie, *A. Lammersa* w Bremie, dyrektora *Kregenberga* w Iserlohn. Grupa ta stowarzyszeń, którą można nazwać stronniectwem *umiarkowanego*, reprezentowanego przez „powszechne niemieckie stowarzyszenie kobiet” z jego rozgałęzieniami, posiada także organ swój redagowany przez p. *Jenny Hirsch* pod tytułem: „*Frauenanwalt*.” Niemieckie stowarzyszenie zarobkowania kobiet, stara się w części podnieść uzdolnienie kobiet w dostępnych już dla nich gałęziach pracy, a to zapomocą szkół szycia, haftów, krawieczyny, seminariów dla dozorczyń w ogródkach dziecińczych i zakładów dla nauczania służących; a w części stara się otworzyć dla kobiet nowe odnogi zajęć w służbie pocztowej, telegraficznej, na drogach żelaznych, w aptekarstwie przez podawanie petycji do sejmów.

W przeciwstawieniu do „powszechnego stowarzyszenia,” które stara się uczynić wyższe ukształcenie przystępnem i dla mniej zamożnych, stowarzyszenia berlińskie zwracają uwagę bardziej na zakładanie liceów dla młodych kobiet wyższych stanów. Berlin i Wrocław uczyniły w tym względzie krok pierwszy; inne miasta uniwersyteckie zamierzają pójść za danym przykładem. Łożą się jednak i starania około zaspokojenia potrzeb klas niższych, przez zakładanie „stowarzyszeń robotnic,” lecz te nie mogą się dostatecznie rozwinąć w obec istnienia podobnych stowarzyszeń, założonych przez demokratów socjalnych. Zdaniem naszym, jest w ogóle błędem, że nie poagiotowano w kółkach robotnic; przez rozszerzenie bowiem oświaty i zaszczepienie lepszego sposobu myślenia w kobietach, należących do tak zwanego stanu czwartego, położonoby tamę tendencyom socjalnych demokratów.

Potęę swoją okazał ruch kobiecy szczególnie w zakresie *wykształcenia kobiet*. Prawo obywatelstwa wyrobił sobie wszędzie pogląd, że ukształcenie kobiet winno stać się bardziej postępowem, odpowie-

dnio do wykształcenia młodzieży męskiej. Ztąd też wyższe szkoły żeńskie poczęły sobie podnosić cele; miasta zaś w Niemczech północnych i środkowych uważały za obowiązek zakładanie wyższych zakładów naukowych dla kobiet. Większa część szkół tych, które w Prusach są zrównane ze szkołami średnimi, ma kurs nauk 9—10 letni, — od 6 lub 7 do 16 lat, a niektóre wyższe szkoły żeńskie, jak na przykład lipska kurs 11 — 12 letni od 6 lub 7-go do 8-go roku uczennic. Brak jest jednak w Niemczech *gimnazyów realnych* dla dziewcząt, których założenie tem jest naglącem, że wzrasta liczba kobiet poświęcających się wyższemu studyum uniwersyteckim. Pani *Augusta Schmidt* w Lipsku w swym zakładzie wychowawczym i seminarjum nauczycielskiem, licząc się do najpierwszych w Niemczech, wprowadza jako przedmiot obowiązkowy *łacinę*, obok wykładanych dotychczas języków francuzkiego, angielskiego i włoskiego. Nauki przyrodnicze i matematyka w takim samym zakresie jak w szkołach realnych, wykładają się od dość dawnego czasu. Nie należy również pominąć, że liczba seminariów dla nauczycielek pomimo opozycji wielu nauczycieli wciąż w Niemczech wzrasta, a cele tych zakładów coraz bardziej się rozszerzają. Powiększa się również liczba seminariów dla dozorczyń ogródków dziecińczych. Stowarzyszenia zaś freblowskie, pedagogiczne i nauczycielek, coraz więcej zapewniają kobietom wpływ im przynależny.

Na polu *polityki i prawodawstwa* egwilnego wyżej wzmiankowane stowarzyszenia kobiet, pojedynczo tylko dały znaki życia. W części bowiem prawodawstwa niemieckie nie są dla kobiet nieprzychylnie, w części znów uważa się emancypację polityczną kobiet jedynie za kwestyą czasu; prawo zaś polityczne stanie się same udziałem niewiast jako owoc dojrzały. Przytem nie należy przypominać, że „powszechne niemieckie stowarzyszenie” wypisało na swoim sztandarze: „z podniesieniem duchowem kobiety musi iść w parze obyczajowe ukształcenie.” Jeżeli hasło to pozostanie na sztandarze ruchu kobiet w Niemczech, wówczas powiedzieć można: „in hoc signo vinces!”

F. M. Wendt.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dla Prenumeratorów na prowincyi, dołącza się *Spis i Cennik nasion* domu handlowo-komisowego J. G. Berlińskiego przy ulicy Rymarskiej Nr 471-a (2 nowy) wprost Banku.

Do dzisiejszego numeru „*Bluszcza*” dołącza się dalszy ciąg powieści *Middlemarch* oraz *Kamiennej Woli*.

OD WYDAWCY.

Dla prenumeratorów pisma „*Bluszcza*” z dodatkiem dzieł *J. I. Kraszewskiego*, dołącza się do numeru dzisiejszego, tom LI ogólnego zbioru, to jest tom 1-szy powieści pod tytułem:

„KOMEDYANCI”

Powieści *J. I. Kraszewskiego* wychodzą tomami, a mianowicie 5 — 6 tomów kwartalnie. — Prenumerata wynosi dla prenumerujących *Bluszcza*, kwartalnie Rs 1 kop. 75; — dla nieprenumerujących *Bluszcza* Rs. 2 kop. 50.

Wydawnictwo to rozpoczęło się z dniem 1 października 1871 r. — Wyszło dotąd tomów pięćdziesiąt.

TREŚĆ: *Bawiąca panna*. — *Zarnica*, (dalszy ciąg), powieść bułgarska społeczna, przez Teod. Tom. Jeża. — *Nowiny paryżkie*, przez T. R. — *Ruch muzyczny*, przez Jana Kleczyńskiego. — *Korespondencya zagraniczna*, (dokończenie). — *Słowno o stanie obecnym sprawy kobiet w Niemczech*.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20.

Дозволено Цензурою 22 Января (3 Февраля) 1874 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

¹⁾ Założone d. 18 października 1865 r.